TYDZIEŃ

polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą **1** sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

REDAKTOR

JÓZ. IGN. KRASZEWSKI.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi rocznie **talar. cztery.**

Rok I. Drezno, dnia 26. Czerwca 1870. № 26.

OD REDAKCIJ.

Drugie półrocze „Tygodnia" stanowi całość odrębną. Ogłaszamy na nie przedpłatę wynoszącą dwa talary w Związku Niemiec północnych; prosząc o wczesne zgłaszania się wprost do Redakcij w Dreznie, gdyż po 1. Lipca z trudnością byśmy mogli zadość uczynić żądaniom. Karty pocztowe (Post-Anweisung) z wymienieniem dokładném adresu są dostateczne.

Drezno, 19—26. Czerwca 1870.

W polityce cisza głęboka. — Jest to zresztą stan normalny, do któregośmy już nawykli. — W wieku największej jawności, panuje ciemność najgłębsza, wszystko okryte tajemnicą, a dla zabawki tłumów niekiedy maleńkie spadają fajerwerki polityczne. — Nigdy może ciemniej nie było jak dziś — chociaż nic się na pozór utaić nie może. — Tymczasowo wszyscy z wszystkiemi są w jak najpiękniejszej zgodzie, dla przypodobania się Austrij Fadijejewowi dano dymisję, dla przyjaźni Rosij odmówiono autonomij Galicij; król pruski gratuluje po plebiscycie Napoleonowi; Napoleon uśmiecha się wszystkim. . . . Uszczęśliwiona Europa cała, tylko wartogłowy i wichrzyciele porządku mogą mruczeć i być niezadowolnionemi.

Ordery sypią się secinami, komplementów bez miary.

W Petersburgu wystawa świetna, sąd o niej zostawujemy — właściwym organom: Głos tak się w tym przedmiocie rozpisuje, nikt go o stronność nie posądzi:

„Przypatrując się wystawie zdaleka przyznać potrzeba, że wygląda przepysznie — Porównywając ją do wystawy przed pięciu latami widziemy niezaprzeczony postęp naszego przemysłu; ale porównywając wyroby nasze do zagranicznych, na pierwszy rzut oka osądzić łatwo, że coś my kolwiek dotąd na polu przemysłu i fabryk uczynili jest tylko niedołężném naśladownictwem zachodnio-europejskich wzorów. Z tej przedwstępnej uwagi wyciągnąć musiemy wniosek upokarzający, że nie jesteśmy w stanie w żadnej gałęzi fabrycznej i przemysłu najmniejszej z nikim wytrzymać konkurencji. To przynajmniej jest sąd kompetentnych ludzi.

Któż, jak myślicie, główną gra rolę na wystawie? Nikt w świecie tego nie zgadnie. Głównym wystawcą u nas jest — Rząd. Jest to upokarzający fakt, bo wszędzie i zawsze, gdzie rząd się jaką fabrykacją zajmuje, obwarowuje się od współzawodnictwa monopolem. Z wyjątkiem Moskwy i Petersburga gdzie się wpływ zagranicy czuć daje, prowincjom naszym zbywa na smaku. Przypatrując się rzeczom z daleka, wyglądają pięknie, przystąpiwszy bliżej, prawdziwa Chińszczyzna, prowincje nasze zdają się brać wzory do doboru kolorów ze pstrej malatury cerkwi św. Wasyla, zdają się uczyć perspektywy od Chińczyków a w technice trzymać starych recept i szablonów. — Ale możnaż im to wyrzucać, kiedy nawet Akademja nasza, nie inne i nie lepsze ma sztuki pojęcie."

Taż sama wystawa jak najświetniej wszakże wystąpi w gazetach warszawskich, którym o niej pisać kazano. . . . Źle nie mogą, muszą więc wynosić zwycięztwa Rosij na polu rękodzieł i przemysłu. . . .

Za to w dziennikach niemieckich częściej się teraz spotykamy z opisami Rosij, branemi z natury i wcale nie pochlebnemi. . . .

Europejskiej sławy dyrektor muzyki Srauss przybywa do Warszawy, gra w Szwajcarskiej dolinie. Po koncercie, po północy pijanych kilku praporszczyków hula w pustej sali . . . myśl im przychodzi żeby dla nich Strauss zagrał. Wywlec każą go z łóżka. Graj Niemcze! Sto rubli niedosyć — sto pięćdziesiąt, — dyrektor nie chce. — Waleczni oficerowie rzucają się nań z pięściami, kopią go nogami i zbijają na gorzkie jabłko. . . .

To się nazywa swobodą w Rosij, a ci panowie to są — liberały, a hulanka ta, postęp i cywilizacja. Cóż chcecie? — każdy naród ma swoje obyczaje. — Biedny Strauss!

Gdzie się tak obchodzą z cudzoziemcem, artystą — kto? honorwi wojskowi — jakiż tam być musi chleb powszedni dla autochtonow?

Na sposób tych oficerów policja w Litwie objeżdża dwory, kułakami i łajaniem domagając się podpisów o wprowadzenie języka do kościoła. . . . Dotąd męczeńska Litwa ugiąć się nie dała jeszcze — a od Prus wchodzące broszury litewskie, zachęcające do wytrwania w wierze, ożywiają ducha. Strzeżone też są teraz więcej niż kiedykolwiek granice . . . a blizki przyjazd N. Pana zwiększa jeszcze ostrożności.

Po drodze, w Warszawie wszystko się przysposabia na przyjęcie oswobodziciela ludu . . . stawią tryumfalne łuki, malują domy, oczyszczają ulice. . . .

Czarne suknie i smutne twarze jak najsrożej zakazane. Bal jen. Witkowskiego z kieszeni obywateli ma być niesłychanej wspaniałości i kosztować będzie miljony. . . . Każą być szczęśliwą Warszawie — musi . . . i zapłacić w dodatku. . . . Pocichu szepczą, że łaski i amnestje się sypną. Ta sama komedja zawsze z jednakiem odgrywa się powodzeniem.

Warszawa oprócz tego ożywiła się jarmarkiem wełnianym, który był dosyć pomyślny, wyścigami konnemi i zjazdem obywateli. Wyścigi na placu Mokotowskim zaszczycone zostały przytomnością hr. Berga. — (Z powodu wyścigów Kłosy umieściły piękny rysunek Kossaka.)

Dnia 1. Czerwca odbył się Synod ewangelicko-reformowany, wybory konsystorza i rachunki.

Do wypadków należy coś nakształt zmowy robotników w jednej z fabryk dnia trzeciego Zielonych Świątek — ale tegoż dnia wszystko wróciło do porządku. . . .

Nowością także w Warszawie jest wprowadzenie Hydrapultów, sikawek ręcznych Baranowskiego, które na wypadek pożarów w każdym domu być mają. Dzienniki donoszą jeszcze o świetnym ślubie młodego hr. Przeździeckiego z hr. Zyberg-Plater i o chorobie ciężkiej zasłużonego profesora Bartoszewicza. . . . Choroba z pracy i znękania pochodząca. — Doktorowie zakazali mu czytać nawet.

W Galicij przeddzień wyborów, więc czynność wielka, odezwy, wyznania wiary i nawoływania do wszystkich obozów. — O ile się z dzienników wyrozumieć daje, stronnictwo demokratyczne zdaje się mieć największą siłę, ale przy tém prawie wyborczém jakie istnieje, nie daje to rękojmi, aby sejmowa większość z łona opozycij prawno-politycznej wyjść miała. — Wpływy przeważne w posiadłościach mniejszych, większych i miastach, wydadzą rezultata rozmaite, a prawdziwej reprezentacij kraju w ten sposób nigdy otrzymać niepodobna. — Do liczby nowych kandydatów na posłów przybywa świeżo naturalizowany Jul. Klaczko.

Najwydatniej stoją przeciwko sobie dwa obozy — krakowski, którego organem jest Czas, zachowawczy i umiarkowany, nie żądający dla Galicij więcej nad to, co jej ofiarowano; i liberalno-demokratyczno-rezolucyjno-federacyjny, w którym najwybitniej góruje Smolka. — Oba te żywioły w Izbie będą reprezentowane, a pierwszy powinienby mieć większość. Rusini pójdą bliżej z pierwszym, boć Czas zalecał Lwowianom wybór Ławrowskiego.

Ministerjum hr. Potockiego stoi co raz jawniej przy zachowaniu konstytucij, której naruszyć ani zmienić nie daje. Tak je rozumieją w Wiedniu, obawiając się, by klerykalne stronnictwo nim nie owładnęło.

W Krakowie wystawa przemysłowa dosyć cicho otwartą została.

Dziennik polski i lwowski ogłaszają odezwę od centralnego komitetu wyborczego towarzystwa demokratycznego, podpisaną przez Smolkę i Dr. Semilskiego.

Towarzystwo popierać ma kandydatów, którzy przyjmą za prawidło żądać dla kraju: odrębności politycznej; nie cząstkowych koncesij ale w całości uznanego prawa; nakoniec reformy ustawodawstwa w duchu demokratycznym, i którzy się zobowiążą iść ręka w rękę z opozycją prawno-polityczną.

Wobec zbliżających się wyborów i agitacij, która je poprzedza, wszystko blednie i maleje.

W Poznańskiem także przygotowują się wybory na sejm Berliński, ale w ciszy i spokoju, graniczącym z obojętnością. Można powiedzieć prawie, iż gdy część znaczna społeczeństwa przestała do nich przywiązywać wagę, wypaść muszą mniej szczęśliwie niż dawniej. — Tu też zresztą mało co więcej jest do uczynienia nad poświadczenie o istnieniu narodowości — chociaż ten rodzaj protestu ma swą ważność, której zaprzeczać się nie godzi. — Walne zebranie delegatów powiatowych w Poznaniu odbędzie się dnia 4. Lipca.

Dziennik poznański mieści artykuł o dziennikarstwie niemieckiem w Poznaniu, z powodu zarzutu jakoby polska prasa nie jednakowo zapatrywała się na stosunki prusko-moskiewskie. — Są one tego rodzaju w istocie, iż ich określić trudno. — Organa rządowe obu krajów, dynastje blizkiemi z sobą połączone węzłami, objawiają zawsze najprzykładniejszą zgodę i każą się domyślać sojuszu, gdy dziennikarstwo rosyjskie swobodniejsze i niemieckie nieurzędowe nie tają wzajemnych wstrętów.

Wiadomo przy tém, że następca tronu rosyjskiego i cesarzowiczowa Dogmara jawnie są anty-pruskich usposobień. — Są więc dwa prądy przeciwne, które chwilowo na przemiany się objawiają i zwycięztwem łudzą. Wspólność interesów blizkich, jak mówi Dziennik, łączy, antagonizm nieuchronny w przyszłości rozdziela.

Artykuł o szkole rolniczej imienia „Haliny“ w Żabikowie, który dla tej jednej bardzo użytecznej i pożądanej instytucij zdaje się zrzekać wszelkich innych, wywołuje protestację, którą mieścim poniżej, jako objaw usprawiedliwiony potrzeb kraju.

W sprawie wyborów ostatni numer przynosi artykuł usiłujący dowieść iż:

„Zakorzeniające się co raz bardziej przekonanie o bezużyteczności działania naszego w sejmach i parlamentach północno-niemieckich — nie jest zupełnie prawdziwém.“

Czy nie jest zupełnie prawdziwém, czy zupełnie nieprawdziwém??

Obszerniejsza jeszcze jest korespondencja o nowém ziemstwie kredytowém (sic!) — (Ma to być Towarzystwo kredytowe ziemskie) — wskazująca potrzebne reformy instytucij.

Ogłosił w Poznaniu p. Eulogjusz Zakrzewski cztéry odczyty ze swych studjów etnograficznych, o których Dr. Libelt małe sprawozdanie w Dzienniku wydrukował. — O ile z niego wnosić można, przedmiot to tylko dla specjalnie nim zajmujących się dostępny.

Pomyślność, małe pisemko poświęcone przemysłowi, wychodzące w Poznaniu, mieści kilka zajmujących życiorysów (Aug. Spiski — Andrzej Masłowski), które jego wartość podnoszą. W ogóle może się ono szczęśliwie rozwinąć.

W **Gazecie toruńskiej** konferencja dyrektorów szkół gimnazjalnych i realnych W. księztwa, Sprawa wyborcza, Stan oświaty ludu i szkoły początkowe w Król. polskiem (artykuł zajmujący bardzo). Nowe prawo karne i t. d.

W pierwszym z wymienionych artykułów jest zeznanie nauczycieli, przekonywające jak młodzieży polskiej narodowości zaporą widoczną do wykształcenia jest obcy język, w którym nauki pobierać musi. — Statystyka wykazuje, iż niemieccy uczniowie rychlej wychodzą ze szkół, nie dla tego by zdolniejsi byli, ale że polscy łamią się z językiem, który wprzódy posiąść muszą. Dla nich więc nauka stokroć jest cięższą i więcej czasu wymagającą.

Gazeta toruńska abstynencję w parlamentach i zaniedbanie wyborów silnie nagania. Widać z artykułu, iż zdanie powstrzymania się od wyborów, miało wyznawców swych i powody. Chciano ludność polską w Prusach zachodnich ochronić od prześladowania przez niemieckich właścicieli ziemi.

Katolik z górnego Szlązka donosi, że w Wysokiej pod Oleśną zawiązało się towarzystwo rolnicze, do którego się zapisują gospodarze wiejscy. Naczelnikiem jest ks. Meiss, proboszcz miejscowy.

Gwiazdka cieszyńska ogłasza odezwę od komitetu narodowego wyborczego dla księstwa Cieszyńskiego.

„Oto jest nas, powiada ona, ludu polskiego i czeskiego w ks. Cieszyńskiem około 230,000, a w każdej kadencyi sejmowej jedyny tylko poseł przemawiał za nami. A kto temu winien? Bracia uderzmy się w piersi, bo my sami!“

Za ową wycieczkę Polaków ze Szlązka do Krakowa, Niemcy sobie urządzili demonstracją do Raciborza, „aby wzmocnić swe uczucie niemieckie, zbliżeniem się do Prusaków.“ Miała się ona odbyć w Niedzielę przeszłą. — „Ale jak to będzie z patriotyzmem austrjackim?“ pyta Gwiazdka cieszyńska.

Cyrkularz ks. Piotrowicza przedrukował już i **Orzeł polski** z Washingtonu. Dowiadujemy się też z niego, że w Nowym-Yorku są trzy stowarzyszenia polskie, „Kościuszki,“ „Lutni polskiej“ i „Związku narodowego polskiego.“

W Cincinati zawiązały się dwa towarzystwa polskie; jedno niewiadomej nazwy, drugie polsko-katolickie; w Milwankee „Towarzystwo św. Stanisława Kostki.“

Orzeł polski zacznie w drugiem półroczu wychodzić co tydzień. — Odbijają go 600 egzemplarzy, a z tych 194 rozchodzi się w Ameryce, to jest tyle lub więcej niż nie jednego dziennika — w Galicji.

Przepraszam — ale czy nieprawda? —

Zmarł dnia 6. Czerwca w Warszawie Kazimierz hr. Łubieński, były oficer wójsk polskich, a teraz obywatel wiejski. — Dzienniki piszą: — „dusza prawdziwie żołnierska, szczera, otwarta“ — człek zacny.

Dnia 15. Czerwca Juljan Liedtke, były redaktor i założyciel Kurjera lubelskiego — w wieku lat 35.

Stowarzyszenie

Wzajemnej pomocy Sybiraków w Krakowie.

Kraj nasz słynął z serc i ofiar dobroczynnych. Któż nie przypomni sobie w czasach młodości, po starych naszych dworach tych rozbitków wszelkiego rodzaju, tak gościnnie, tak szlachetnie tulonych i przyjmowanych! Napoleońskich niedobitków, wróconych z wygnania mroźnego i z gorących tułactw po świecie. Któż nie pamięta tej rodziny przybranej starców, sierót, wdów, które każdy nasz dom, posłuszny ewangelicznemu prawu, utrzymywał i wspierał...?

Któż nie wie jak obficie sypały się zawsze w Polsce jałmużny i ofiary, i jak na to czarowne imie ojczyzny, lub tych co dla niej cierpieli, sypało się wszystko aż do łyżek ostatnich, aż do ślubnych obrączek?

Było to jedném z znamion starej Polski... Szlachcic, który nie postradał tradycji, czuł się w każdej chwili obowiązanym za rzeczpospolitę, płacił jej długi, choćby sam miał na fortunie, życiu a zdrowiu zbankrutować. Był to piękny rys staroszlacheckiego społeczeństwa.

Pamiętamy po roku 1830... te tłumy pędzonych na wygnanie ludzi wszech wieków i stanów, którym gościnne Wilno i Mińsk, przynosiły odzież, pieniądze, jadło, — uśmiech i nadzieję... Naówczas ten co cierpiał za ojczyznę miał prawo do serc wszystkich; nie pytano go jakich był przekonań politycznych, czy wyszedł z łona ludu, czy był szczątkiem szlacheckiego świata, czy czasu wojny trzymał z Czartoryskim czy z Lelewelem. — Starczył tytuł żołnierza, wygnańca, nieszczęśliwego.

Z tém uczuciem, z namaszczonemi ewangeliczną dobroczynnością dłońmi, przeżyliśmy do 1864 roku, — roku potężnego przełomu w pojęciach, uczuciach i postępowaniu. — Jedyna spuścizna po starej Polsce, największa, to uczucie miłosierdzia, w kataklyzmie ogólnym pochłoniętą została, — prawie cała.

Społeczność nasza od tej nieszczęśliwej daty, z każdym dniem zaczęła się straszliwiej zmieniać i dzielić. — Wobec grozy zupełnego zniszczenia, którego sztandar podniosła Moskwa, połowa niemal słabszych umysłów, postanowiła ocalić się, choćby z łodzi nadwątlonej przyszło najdroższe narodowe wyrzucić relikwje.

Naówczas to usłyszeliśmy naprzód z kazalnic spadające potępienia, potém w imie religji rozbrat z tém, co w jakikolwiek sposób trąciło, przypominało... rewolucją.

Od 1865 roku z każdym niemal dniem rozłam w narodzie stawał się i staje widoczniejszym. W imię dobra kraju dziś doszliśmy aż do nienawiści bratniej, aż do odtrącenia niedoli, której łachman zbroczony był krwią przypominającą powstanie 1863 r.

Wśród tego systematycznego zaparcia się wszelkiej solidarności z cierpiącemi braćmi; kto dziś ma męztwo być miłosiernym bezwzględnie na przekonania i osoby... kto tylko widzi nędzę i obowiązek ratowania jej — dowodzi prawdziwej odwagi cywilnej.

Takiej dowiedli założyciele Towarzystwa Opieki Narodowej we Lwowie, a wprzody jeszcze Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Sybiraków. Tak często zmuszeni byliśmy ubolewać nad zobojętnieniem Galicji na wszystko, nad chaotycznem dotąd wyrabianiem się tam jakiegoś życia, jeszcze w stadjum przechodowem dotąd, nie dającego się ocenić ani scharakteryzować — iż najszczęśliwsi jesteśmy, mogąc przy tej zręczności poświadczyć jak Pomoc Sybiraków, znalazła wielu współpracowników.

Historja tego stowarzyszenia należy do wewnętrznych dziejów dni dzisiejszych, dla których te szczegóły obojętnemi nie są. — Powstanie 1863, dla którego zrazu rząd austrjacki był bardzo powolnym, wyciągnęło z Galicji co najgorętsze żywioły... Z tej młodzieży wiele najczcigodniejszej zginęło... więcej może jeszcze poszło w Sybir na wygnanie, z którego powolnie wracać nie rychło poczęto nieszczęśliwych...

Rząd rosyjski odstawiać począł tych rozbitków do granicy i do Krakowa. Współczucie dla nich nie obudziło się rychło. Sarkano dosyć na „włóczących się po mieście i kraju.“ Magistrat widząc nędzę i czując, że coś zrobić potrzeba, wyznaczył komitet, który początkowo się składał z p. Lipińskiego, właściciela hotelu i trzech kupców, Gwiazdomorskiego, Wentzla i Jahna. — Przy najlepszych chęciach, nie mogli oni zająć się czynniej losem powracających, ale udzielali — wsparcia, które nie przenosiło zwykle 3 złr. a.

Sybirak też z temi trzema złotemi szedł dalej, szukając litości i wsparcia... a że na pasporcie miał ogólnikowo zapisane iż coś już otrzymał w Krakowie, po wsiach rzadko kto wspomógł nieszczęśliwego. Trafiało się różnie, a jak zwykle w takich razach, pod nazwę Sybiraków podszywał się nie jeden włóczęga, nie jeden oszust, którego złe prowadzenie się, szło na karb Sybiraków, uważanych za nową plagę, za dalszy ciąg „tej (słowa są historyczne), tej nieszczęsnej rewolucji przez zdrajców kraju i nieprzyjaciół pokoju, i wszelkiego porządku wywołanej,“ doszło do tego, że Sybirak nie śmiał się przyznać do tego co ucierpiał, — bo mu to było najgorszą rekomendacją.

W tej chwili krytycznej kilku nieco szczęśliwiej położonych, wróconych z wygnania, a szczególniej p. Wiktor Bylicki, postanowili zawiązać to stowarzyszenie wzajemnej pomocy. — Prywatnie z wielu względów uczynić tego nie było można, gdyż i w tém dziele miłosierdzia, widmo rewolucji widzieli ludzie . . . porządku, co przy każdej sposobności gotowi są prosić o stan oblężenia.

Ufając w to, że myśl jego czystem miłosierdziem natchniona, a dająca też pewne rękojmie ładu i porządku, znajdzie u rządu uznanie, p. W. Bylicki przedstawił ją delegatowi namiestnictwa p. Bobowskiemu, który użyteczność stowarzyszenia zrozumiał, statuta jego poparte życzliwie przedstawił i sankcję ich u rządu uzyskał, (d. 17. Kwietnia 1869 r.).

Ogłoszono przez dzienniki programm, stawiąc jako pierwsze zadanie Towarzystwa, szukanie p r a c y i zajęcia dla Sybiraków. Komitet dawał wsparcie, dopóki nie wyszukał miejsca odpowiedniego, a razem wydawał Sybirakom poświadczenia, jako istotnie powróconym z wygnania.

Potwierdzenie statutów przez rząd w Wiedniu, wielce się przyczyniło, do nadania stowarzyszeniu powagi i obudzenia zaufania, a uchylenie podejrzeń o knowania rewolucyjne.

Wielu obywateli zażądało do siebie Sybiraków, dało im miejsca i schronienie, a nadewszystko — pracę, ale potrzeba było dla obudzenia zajęcia, tak gorącej a niezmordowanej gorliwości, tak trafnego i taktowego postępowania, jakiego członkowie komitetu pp. Bylicki i znany autor Czarnej Księgi, p. Czaplicki dali dowody.

Powodzenie mogło napełnić radością serca zacnych a miłosiernych ludzi; a kraj okazał się po staropolsku, chętnym do ofiary... Umieszczono wielu kandydatów po wsiach w różnych obowiązkach, innych u rzemieślników, jako subjektów po handlach i t. p.

Fundusze na tymczasowe wsparcia uzyskał komitet; naprzód z wystąpienia chętnego pani Modrzejewskiej, — która w Czerwcu wraz z amatorami ofiarowała się grać na korzyść Sybiraków, a dyrektor hr. Skorupka dał teatr bezpłatnie. — Ze trzech przedstawień weszło do kasy około półtora tysiąca zlr. a.

Ten piękny czyn znakomitej artystki zjednał jej, równie jak talent, pełne zapału serdecznego pożegnanie, gdy Kraków opuszczała.

W karnawał pamiętny bal wspaniały, którego dochód dorównał teatralnemu, zasilił także ubogich kassę. Właściciel hotelu nawet pan Mejsel znalazł się bardzo szlachetnie, cenę sali ofiarując za bilet do wnijścia.

Naostatek komitet urządził za zezwoleniem rządowém loterję fantową, którą rząd od zwykłej opłaty (*mogącej wynosić 400 zlr.*) uwolnił.

Loterja ta właśnie ma przyjść do skutku, jak skoro bilety rozprzedane zostaną, ale z dotychczasowego ich umieszczenia wnosić należy, iż i to się gorliwym stowarzyszeniu przewodniczącym powiedzie.

Z prawdziwą pociechą zapisujemy tu tę oznakę zwrotu ku

narodowej tradycji w Galicji, to rozbudzenie się ducha ofiarnego, który najpiękniejszy przymiot nasz stanowił. Niech ci co chcą się odłączyć, pozostaną odosobnieni, przekazując swe jałmużny na cele oddalone i obojętne dla ogółu . . . poczciwe serca prawdziwie polskie pospieszą z jałmużną chętną dla Sybiraków. — Cześć ewangelicznym dobroczyńcom nieszczęśliwych.

Szlachta, duchowieństwo obu obrządków, mieszkańcy miasta, kupcy i rzemieślnicy dali już dosyć dowodów, iż dla nich *res sacra miser*.

Powracający z Syberji przychodzą zwykle w najzupełniejszej nędzy, obnażeni prawie i bez odzieży; — dostawiani do Krakowa w liczbie od trzech do dziesięciu, w łachmanach sołdackich płaszczów z żółtemi piętnami na plecach, bez butów, bez koszul, przebywszy kilka tygodni dokuczliwego więzienia w ratuszu warszawskim. . . — Wielu z nich koszulę dziegciem wysmarowaną ma na grzbiecie, a zamiast butów, skórzane lub lipowe chodaki. Potrzeba rozpocząć od kąpieli i odzieży, która z łazarza nowego czyni człowieka.

Komitet (W. Bylicki) zajmuje się tém wszystkiém i początkowo utrzymuje przybyłych, zapewniając im mały żołd dzienny i jedzenie. Często miesiące trwa wyczekiwanie pracy stosownej do sił i ukształcenia. . . — Dla jadących w głąb kraju, kolej lwowska zniżyła do jednej szóstej części cenę trzeciej klasy, tak, że z Krakowa do Lwowa, opłaca się tylko 1 złr. 40 cent.

Powodzenie stowarzyszenia dozwoliło mu kilkakrotnie przyjść w pomoc drugiemu stowarzyszeniu kalek, wdów i sierót z lat 1863 i 1864, którego prezesem jest p. Fr. Trzecieski. Niech Bóg błogosławi usiłowaniom.

J. I. Kraszewski.

Korrespondencye.

Listy Soborowe.

XXIV.

Rzym, 16. Czerwca.

(*γή.*) Dnia 9. Czerwca kongregacja soborowa rozpoczęła się nabożeństwem odprawioném przez ks. Lyonnet arcybiskupa z Alby. Rozdano przytém Ojcom spis zmian proponowanych przez deputację dogmatu w przedmiocie konstytucji dogmatycznéj o Rzymskim Pasterzu. Ks. Dechamps, arcyb. mechliński zabrał głos w imieniu wspomnionéj deputacji, i uczynił raport o poprawkach podanych przez Ojców do przedmowy i do dwóch pierwszych rozdziałów konstytucji. Po nim wstępowali na mownicę: kardynał Rauscher, ks. Landriot arcyb. z Rheims, ks. David biskup z Saint-Brieuc, ks. Sola biskup z Nizzy i ks. Vérot biskup z Savannah w Zjednoczonych Stanach.

Rozprawa się toczyła nad trzecim rozdziałem konstytucji dogmatycznéj. Wszyscy zwyż pomienieni mowcy mówili przeciwko schematowi. Ks. Vérot nie był wzywany do porządku tą razą jak przeszłą; ale przerwano znowu gwałtownie mowę ks. Soli, który bardzo daleko zaszedł w rozumowaniu swojém, albowiem dowodził z wielką nauką i wymową, że Pasterz Rzymski ma w Kościele pierwszeństwo godności, nie zaś juryzdykcji. — To śmiałe twierdzenie wywołało silne krzyki przeciwko niemu. Mnodzy członkowie większości zawołali, że kacerz, że febronianin i jansenista, i zażądali aby mównicę opuścił.

Dnia 10. celebrował na kongregacji ks. Escalada arcyb. z Buenos-Ayres. — Mowcami tego dnia byli ks. Dupanloup biskup orleański, biskup z Bai, i dwóch innych biskupów, z których jeden Hiszpan.

Ks. Dupanloup z przedziwną wymową powstawał przeciwko nieograniczonej władzy i nieznanym zgoła w Kościele Bożym przywilejom, jakie tekst konstytucji dogmatycznej przyznaje Papieżowi. — Zaprzeczał osobliwie twierdzeniu, jakoby Ojciec Święty był biskupem w każdéj dyecezji świata, jako nauce całkiem niezgodnéj z nauką Ewanielji św. i dawnych Ojców. Rzecz biskupa orleańskiego powiedziana była z wielkiem umiarkowaniem i spokojem, a pomimo stanowczości jego opozycji, kardynałowie legaci nie przerywali jej i dozwolili ją skończyć bez wzywania do porządku.

Po ks. Dupanloup wszedł na mownicę biskup z Bai. Ten zdaje się używać przywileju najskrajniejszych zdań w sensie większości wyrażonych w sposób, któregoby mogli pozazdrościć pan Veuillot i p. Don Margotto. Tą zaś razą z taką gwałtownością i najnieprzyzwoitszym dowcipem uderzył na mniejszość soborową, iż legaci sami uczuli nakoniec nieprzystojność takich napaści, tém bardziéj, że wielu członków większości na te płaskie żarty zrywało boki od śmiechu. Surowo zatém upomnieli mowcę i wezwali go do porządku. Po raz to pierwszy na Watykańskim Soborze stało się, iż członek większości dostał naganę i ostrzeżenie.

Dnia 11. Czerwca miał mszą o Duchu Świętym ks. Errington arcybiskup z Trebizondy. Rozprawa ciągnęła się zawsze nad trzecim rozdziałem konstytucji dogmatycznej. Przemawiali kolejno: ks. de Las Cases biskup z Konstantyny, ks. Papszilagyi biskup z W. Waradynu, ks. Gastaldi biskup z Saluzzo, ks. Place biskup marsylski i trzech jeszcze biskupów włoskich. Wogóle episcopat włoski tak liczny a tak milczący teraz dopiero zaczyna wychodzić ze swéj ospałości i otrętwienia. Z małemi wyjątkami odzywał się on dotychczas wtedy tylko kiedy przychodziło do głosowania. — Atoli przycinki zagranicznych biskupów poczęły w nim obudzać poczucie godności i obowiązku, osobliwie odkąd jeden z mówców opozycji przyrównał biskupów włoskich do posągów dobrych jedynie na ozdobę soborowej sali.

Na jednej z tych trzech kongregacji, ks. Papszilagyi jak twierdzą jedni, czyli też ks. Vérot, jak utrzymują drudzy, zwracając się do swego przeciwnika rzekł: — „Wzniósłeś trzy nowe kanony o Rzymskim Pasterzu; ja zaś takowe streszczę w jeden, który zalecam wielebnemu kołu, a jestto następny: Ktokolwiek rzecze, iż Papież nie może mówić i pisać w rzeczach wiary i moralności podług własnego widzimisię, niech będzie wyklęty!“ — Na te ironiczne wyrazy wszczęło się silne dzwonienie legatów i wielki zgiełk w rzędach większości. — Zaczęto wołać: *Descendat de ambone!* — Mówca się wcale nie zmieszał ale skłoniwszy się wdzięcznie, z uśmiechem zadowolenia na ustach opuścił mownicę.

Dnia 13. kongregacja otworzyła się nabożeństwem, — odprawioném przez ks. de Mérode arcybiskupa melitenskiego wielkiego jałmużnika papiezkiego; poczém ks. Fessler przełożył Ojcom prośbę pięciu biskupów upraszających o pozwolenie powrotu do swych dyecezji, na co się już komisja wymówek, zgodziła była. Potém zaś przystąpiono, z rozkazu Papieża do głosowania nad przedmową konstytucji dogmatycznéj, która późniéj dopiero miała nastąpić. Poprawki do téj przedmowy bardzo licznemi były; atoli niemal wszystkie odrzuconemi zostały większością głosów i utrzymano tekst pierwotny.

Głos zabierali następnie: kardynał Pitra, ks. Régnault biskup z Chartres, ks. Bailles biskup z Luçon, ks. Ramirez y Vasquez biskup z Badajoz, ks. de Dreux-Brézé biskup z Moulins, i ks. Caixol y Estrade biskup z Urgel.

Mowa kardynała Pitra była rzeczywiście świetną. Wiadomo, iż ten słynny purpurat zakonu świętego Benedykta należy do najgłębszych badaczy dziejów i kościelnego piśmiennictwa greckiego i Wschodniego. — Bronił on gorąco pierwszeństwa Rzymskiego Pasterza i usiłował dowieść z tekstami w ręku, iż pierwszeństwo to było zawsze stale uznawane w Grecji i na Wschodzie. Mowa uczonego benedyktyna podobała się bardzo nawet mniejszości soborowéj, albowiem tchnęła największém umiarkowaniem i duchem chrześciańskiéj łagodności. Rzadzcy są zaiste między infalibilistami Ojcowie przemawiający z taką nauką, a zarazem z taką miłością bliźniego jak znakomity ten uczony. Wszyscy niemal rażą swoją zaciekłością, nietolerancją i fanatyzmem, i miano tego wymowny przykład, kiedy po kardynale Pitra zabrał głos ks. Ramirez y Vasquez. — Ten przyzwoitszym się okazał w formie swéj rzeczy i w polemice z mniejszością, niż biskup z Bai, ale przeszedł go w niesłychanych paradoksach, jakiemi mowę swą najeżył. — Oddawał on Papieżowi cześć całkiem boską, dowodził, iż uczestniczy w bóstwie, i że jest istotą nadprzyrodzoną. Pomimo niesłychanych herezji, jakie to papieżochwalstwo mieściło w sobie, legaci nie wezwali mowcy do porządku. Mniejszość przyjęła te teologiczne marzenia i dziwactwa z litośnym uśmiechem i wznoszeniem ramion.

Dnia 14. Czerwca Ojcowie wysłuchali najprzód mszy ks. Landriot arcybiskupa z Rheims, a potém siedmiu mówców się odzywało. — Ostatnim był świeżo prekonizowany ks. Treppel. Zapewniają, że na posiedzeniu tém nagle zamkniętą została rozprawa nad trzecim rozdziałem konstytucyi dogmatycznéj, albowiem pewna liczba zapisanych mowców, dowiedziawszy się, że się deputacja dogmatu zgadza na pewne zmiany w schemacie dobrowolnie zrzec się miała głosu.

Wczoraj więc rozpoczęła się najważniejsza dyskusja nad czwartym rozdziałem konstytucji: *De infillibilitate Romani Pantificis.* — O tém posiedzeniu nic wam dotąd donieść nie umiem.

Co się zaś tyczy zmian w tym rozdziale zaprowadzonych, a które

zmieniłyby całkiem doniosłość dogmatycznego orzeczenia, czekać wypada dokładniejszych wskazówek.

Mówią, że dziełko *De l'unanimité morale dans le Concile*, przeciwko któremu infalibiliści wściekle się miotają, a które Correspondance de Rome, przyrównywa do pchnięcia sztyletem wśród nocy przez zdrajcę, jest napisane przez biskupa orleańskiego. Dziełko to ukazało się w Neapolu i jest ze wszech miar znakomitém.

Wiadomości ze Wschodu są rozpaczliwe. Ks. Pluym nie widzi rady na wielką syzmę, która Wschód cały oderwie może wkrótce od Stolicy Apostolskiej, i podał się do dymisji jako delegat apostolski w Carogrodzie. Papież nie chciał jéj przyjąć. Wystosowano ostatnie upomnienie do Ormian, poczém klątwa rzucona będzie na nich przez Ojca Świętego. — Ks. Pluym donosi, że Moskwa kazała spalić część Pery przedmieścia carogrodzkiego.

Polacy z głębokim żalem się dowiedzą, iż O. Theiner usuniętym poniekąd został z urzędu prefekta watykańskiego archiwum, albowiem chociaż go urzędownie nie złożono i zostawiono mu dotąd ten tytuł, przecież *de facto* posada jego zajętą została przez księdza Cardoniego arcybiskupa edesseńskiego a autora owéj słynnéj rozprawy o nieomylności, za którą Papież wynagrodził tego wiernego jezuitów sługę, mianując go archiwistą Stolicy Apostolskiéj. O. Theiner poddany został rozkazom człowieka równie gwałtownego jak ciemnego, albowiem ks. Cardoni podpisuje tylko utwory swoje.

Nieoszacowany autor Klemensa XIV. chorym będąc znajdował się na wsi, gdy całą tę intrygę uknuto. — Otrzymał niespodzianie od kardynała Antonellego rozkaz zdania archiwum ks. Cardoniemu. — Jestto odwet jezuitów. Oskarzono O. Theinera o współpracownictwo z kardynałami Rauscherem i Schwarzembergiem przeciwko nieomylności, o któréj Pius IX. powiadał jeszcze temi dniami biskupowi orleańskiemu: „My w nią głęboko wierzemy;“ zapewniano Papieża, że czcigodny pisarz wydawał drażliwe dokumenta z archiwum przeciwko tejże nieomylności; nakoniec posądzono go nawet o udzielenie, schematów augsburgskiéj gazecie!... Nieszczęściem denuncjacja jest dziś wszechwładną w Rzymie.

Niemasz wcale prawdopodobieństwa, aby ogłoszenie dogmatu nieomylności nastąpić mogło na św. Piotr lub dnia 3. Lipca w uroczystość Najdroższéj Krwi, jak to sobie obiecywano.

Dnia jutrzejszego Pius IX. rozpoczyna 25 rok panowania swego.

Po bezowocnych jak się zdaje, układach p. Wasilewa i p. Pichlera, rząd moskiewski, który się niegdyś zwykł posługiwać księżną Lieven, uciekł się także tą razą do kobiecej dyplomacji. Szkoda, że jedno z najdawniejszych imion polskich pokrywa tę misją, względem któréj najmniejsza już wątpliwość nie zachodzi, jak wiemy o tém z wysokiego źródła. Szczegóły tego kobiecego zadania nie są nam dobrze wiadome, wyjąwszy jeden: księżna Lubomirska z polecenia carskiego forytuje na jednę z licznych opróżnionych stolic biskupich u nas jednego z Ojców Zmartwychwstańców. Jednak chwila nie zdaje się być najlepiéj obraną, z powodu, jak słyszałem, zajścia dyplomatycznego, które list O. Piotra Semeneńki w Kraju wywołał między ambasadą pruską a Watykanem. Sprawa prywatna przedzierżgnęła się nagle w sprawę dyplomatyczną i noty zmieniono ztąd i z owąd. Nic w świecie nie mogło być groźniejszego dla zgromadzenia nad ten nagły i niespodziewany obrót rzeczy. Baron Arnim osobiście obrażony przez O. Semeneńkę ostro się bardzo miał postawić. Przynajmniej tak mówią w tutejszych dyplomatycznych kołach:

„Venit summa dies et ineluctabile tempus Dardaniae...

Czas był przecież, aby święci patronowie Polski położyli koniec pladze.

Poznań, 21. Czerwca.

Dziwna rzecz, że tradycjonalne narowy, potępiane i obwołane wyrokiem narodu za zgubne, przy lada sposobności wypływają na wierzch, jak myśl źle utajona.

Nie mamy własnych sejmów a więc w koteryjnych i specjalnych interesach posługujemy się owém głośném *liberum veto*, jak się to stało w ostatnich tygodniach przy dwóch nader różnych okolicznościach.

W dniu 3. Maja ks. Wład. Czartoryski mocą liberum veto, wygłosił własną swoją politykę w imieniu całego narodu, mimo że była przeciwną poczuciu i interesowi Polski. Dziś zaś czytamy w Dzienniku poznańskim Nr. 139, w artykule „Szkoła rolnicza w Żabikowie „następujące słowa, zwrócone do rządu pruskiego. „Czujemy jak najmocniej brak szkoły rolniczej, której w obrębie monarchii jedyne Księztwo nasze jeszcze nie posiada, nie żądamy na teraz ani uniwersytetów, ani wysokich a kosztownych zakładów, nie żądamy chwilowo żadnych subwencij, nic, jak proste przyzwolenie na otworzenie szkoły rolniczej, którą kraj nasz choć niezamożny, w poczuciu gwałtownej potrzeby własnemi siły i ofiarnym groszem pod trzymywać będzie.“

Nie wchodząc czy odezwanie się w tej formie w piśmie publiczném jest stosowném, i uważając za rzecz bardzo chwalebną, iż ziemianie własnemi zachodami tworzą szkołę rolniczą, każdy jednakże ma prawo zapytać się autora czy autorów powyższego artykułu, kto ich upoważnił do zrzekania się imieniem ogółu uniwersytetów i innych zakładów, do stawiania na pierwszym planie swego specjalnego interessu, do wyrzeczenia tego *liberum veto* w imieniu narodu? Sądzimy iż nie potrzebujemy dowodzić rzeczy tysiące razy dowiedzionej, o ile wyższa oświata wpływa pomyślnie na byt materjalny, rozszerzona wiedza ludzka mieści w sobie nie tylko skarby duchowe ale i ziemskie, a siły intelektualne są najpotężniejszém narzędziem wszelkich prac ludzkich. Zapytujemy autora artykułu o szkole w Żabikowie, czyli ludzie szukający i pragnący nabycia wiadomości, jak lekarze, filologowie, prawnicy, historycy, inżynierowie, technicy i t. d. niemająż równego prawa jak rolnicy, stawiania swoich specyalnych interesów na pierwszym planie dobra ogólnego i żądania aby wszystkie inne umilkły wobec ich własnego, pragnąc uniwersytetu i wyższych zakładów w Księżtwie?“ A cóż dopiero powiedzieć o każdej gałęzi przemysłu, z których nieomal wszystkie na nizkim u nas stoją stopniu.

Jednakże tam jest źródło głównej pomyślności materjalnej, praca fizyczna połączona z duchową stwarzają bogactwo kraju, a ciągły obieg kapitałów staje się niewyczerpanym skarbem. Czyż więc nie mają ludzie przemysłu takiego samego prawa, jak rolnicy, stawiania działu swego na równej z innemi wysokości w podniesieniu dobrobytu kraju? Czy naród ograniczający się na wyższym rolnictwie, niepobierający nauk w ojczystym języku, ubożuchny w przemyśle, może kroczyć porówno z innemi na drodze postępu, i jak należy używać sił swoich?.

Będzie to funkcyonowanie jednych członków ze szkodą drugich, stan nienormalny osłabiający cały organizm.

Pięknie robicie panowie zakładając waszemi staraniami rolniczą szkołę, ale któż was upoważnił do przemawiania głosem trybunów i zrzekania się nader ważnych potrzeb narodu dla waszych własnych korzyści? Obliczmy stowarzyszenia w Księz. pozn.: naukowe, przemysłowe, rolnicze, sztuk pięknych, wzajemnej pomocy, a będzie ich niewątpliwie kilkadziesiąt, z równym prawem reprezentowania narodu, jak i dyrekcja szkoły na folwarku w Żabikowie.

Nasza solidarność.

(§) Pod tym tytułem poddał jeden z oborców Zaboru pruskiego ostrej krytyce postępowanie posłów ostatniej Legislatury tak na Sejmie pruskim jak i w Parlamencie północno-niemieckim zasiadających, wychodząc z założenia „że źle się milczeniem służy Ojczyźnie, kiedy czas do mówienia“ — a zapominając z swej strony równoczesnie o trafném częstokroć przysłowiu arabskiém „że mowa to srebro — a milczenie to złoto.“

Szanowny obórca rozpoczyna swą krytykę w następujący sposób: „Rozpatrzywszy się w ostatniej kadencji sejmów pruskiego i bundestagu (ma zapewne oznaczać parlament północno-niemiecki) w domaganiach się naszych w imieniu narodowej oświaty, ograniczyliśmy się, aby w nowo utworzyć się mającém gimnazjum w Wągrowcu w trzech klasach i to najniższych wykład nauki był polski.“

Otóż pozwalam sobie zwrócić uwagę szanownego obórcy na rozprawy sejmowe, które jakkolwiek nie wszystkie w Dzienniku poznańskim przetłumaczone bywały i to z niewiadomej nam przyczyny, — to znajdują się w zapiskach stenograficznych sejmowych. — Z tych to zapisków poinformował by się szanowny obórca, że posła Kantaka usilnej pracy, ciągłym zabiegom, wymownym nareszcie słowom, którém jako żądaniom narodowém najniechętniejszém Izba przysłuchiwała się uchem. po największej części do zawdzięczenia mamy otworzenie gimnazjum w Wągrowcu w miejsce zniesionego gimnazjum w Trzemesznie, — że jego to pracy i wymowie głównie zawdzięczamy, że gimnazjum w Wągrowcu właśnie a nie w Bygdoszczy założoném zostało. Jeżeli szanowny obórca, w dalszym wywodzie koło polskie do odpowiedzialności niejako pociągnąć zamierzał, za skromne żądanie języka wykładowego w najniższych tylko trzech klassach gimnazjalnych — to najtrafniejszą sam sobie dał odpowiedź w następnym swoim wierszu, w którym powiada: „rząd królewski odpowiedział zwinięciem polskiej kwarty w gimnazjum św. Marji Ma-

gdaleny w Poznaniu.“ — Zaiste trafna odpowiedź, — bo jeżeli kto zawinił, to zapewne nie koło sejmowe polskie, któremu i najskromniejszych życzeń pod względem języka narodowego, rząd zawsze odmawiał!

Nie podlega wątpliwości, że wnioski ś. p. Dr. Metziga o utworzenie uniwersytetu polskiego w Poznaniu pięknie i szumnie brzmiały, jako wnioski wysokiej doniosłości, — ale w praktycznem wykonaniu przebrzmiały w znaném przysłowiu „in magnis voluisse sat est,“ a pozostawały bez skutku i bez śladu! W dalszym ciągu nieuzasadnione są również zarzuty co do milczenia w sprawie wychowania, przypominam albowiem szanownemu obórcy, wymowne i treściwe słowa posła Dr. Krasickiego o utworzenie katedry literatury języków słowiańskich w Wrocławiu lub w Berlinie, które pomyślném skutkiem uwieńczone zostały. — Następnie liczne petycje o język polski w wszystkich szkołach, opatrzone podpisami tak ludności Księstwa poznańskiego jak i Prus Zachodnich, jak najżywiej zajmowały cały skład koła poselskiego polskiego w Berlinie, szczegółową zaś nad niemi uwagę i zajęcie się, poruczyło posłowi E. Czarlińskiemu, który gorliwie sprawą tą się zajmował, — a jeżeli takowa nie została postawioną na porządku dziennym przez marszałka Izby, to z pewnością nie z winy posłów polskich, ciągle się o to dopominających. — Mógłbym dalej jeszcze wymienić posłów: Thokarskiego i Czarlińskiego dopominających się o tłumaczenie dzienników urzędowych na język polski, mógłbym wspomnieć o przemówieniu posła Łubieńskiego, o rozprzestrzenienie niższych klas w gimnazjum poznańskiem, które również pomyślny odniosło skutek, ale ograniczyć się wolę, na tych krótkich wzmiankach, przekonywając jak sądzę przytoczonemi przykładami w sprawach wychowania dosyć jasno, o mylności twierdzenia szanownego obórcy, jakoby na żądanie dla trzech niższych klass gimnazjum wągrowieckiego języka wykładowego polskiego, cała czynność poselska była się ograniczyła.

Przechodząc do drugiego zarzutu co do polityki, wypowiada szanowny obórca co następuje: „Czego nie pojmujemy, to tej wielkiej radości z nowszych dla północnych Niemiec nabytków zwłaszcza, kiedy dotąd wbrew pragskiego traktatu części duńskiego kraju, dotąd nie zostały zwrócone duńskiej koronie.“ — Otóż z dobrze poinformowanego zródła, zaspokoić szanownego wyborcę mogę, że sprawę tę poruczyło koło polskie posłowi Łubieńskiemu, który wykonania tegóż traktatu miał się upominać a zarazem wypowiedzieć, że żądając zawsze uznania narodowości własnej i wykonania praw nam zagwarantowanych traktatami, równego żądamy wykonania dla każdej innej narodowości, a tém samém i dla Duńczyków. — Przy zgłoszeniu się do głosu, Izba dyskusji nie dozwoliła — a tém samém nie przypuściła do głosu posła, któremu tę sprawę poruczono. —

Szanowny obórca pomija dalej milczeniem, tam gdzie mu się podobało wtrącić frazes „kiedy rząd królewski, nawet tych kilku sędziów Polaków do dalekich powyganiał prowincij,“ — zupełnie o kilkakrotném przemówieniu i poruszeniu tejże sprawy w Izbie przez posła Wierzbińskiego, którego to spokojnemu a zarazem trafnemu i godnemu wystąpieniu, którego to również ciągłym zabiegom i pracy głównie zawdzięczamy powrót z innych prowincij do księstwa sędziów naszych. — Pomija równém milczeniem i wystąpienie tegóż posła w sprawie sądów przysięgłych dla spraw politycznych.

Mógłbym dla objaśnienia szanownego obórcy o czynnościach koła polskiego przytoczyć mu jeszcze, że pracę około ordynacji powiatowej, która nas na wyjątkowém znów miała pozostawić stanowisku, poruczyło tuż koło posłowi Z. Szułdrzyńskiemu, że tenże z niezmordowaną uwagą i gorliwością sprawie tej ciągle się poświęcał, że dla nieukończonej dyskusji nad tymże prawem w Izbie i poseł Szułdrzyński głosu zająć nie mógł; mogłbym przytoczyć, że sprawę kartelowej konwencji kolo posłowi Łubieńskiemu poruczyło, której to sprawy Izba na porządek dzienny do obrad przypuścić nie zezwoliła, mógłbym nadmienić o ciągłej baczności w upominaniu się przy każdej sposobności o prawa naszej narodowości — o niezaniedbaniu najmniejszej sprawy, której to szanowny obórca poruszyć był by nie omieszkał, — ale wolę w razie pożądanej dla niego informacji odesłać go do protokułów koła poselskiego polskiego w Berlinie, gdzie najdokładniejszych zasięgnąć potrafiłby wiadomości!

Przechodząc następnie do czynności parlamentu Rzeszy północno-niemieckiej poruszył szanowny obórca głównie dwie sprawy, to jest „anneksję Badenji i sprawę Zuchthauzu za przestępstwa polityczne.“

Co do pierwszego punktu, to pozostawiając szanownemu obórcy pole wysokiej polityki, zupełnie otwartém, pozwalam sobie tylko zwrócić jego uwagę na zasady i tradycję koła polskiego, która od utworzenia tegóż aż do najnowszych czasów, była niezmienna. Postanowiono bowiem w wszystkich sprawach, dotyczących Rzeszy niemieckiej i interesów niemieckich, jako do nas nie należących i my również do nich, wstrzymać się od głosowania, a w następstwie logiczném domagania się tegóż prawa dla nas samych. — Jeżeli posłowie nasi biorą udział w prawodawstwie państwa pruskiego, to są necessitate coacti jako poddani pruscy. Przy motywowaniu wstrzymania się od głosowania posłów naszych w tejże sprawie Badeńskiej, zacytował szanowny obórca słowa posła Kantaka, „że pojmujemy te zabiegi wasze, że je pochwalamy i uznajemy, że nawet życzymy im powodzenia, z radością witamy takie poczucie narodowej jedności“ — ale urwawszy te słowa od związku i następstwa logicznego, to jest że tejże narodowej jedności dla siebie żądamy i pragniemy — zrobił je niejasnemi.

Zacytowane przez szanownego obórcę słowa z patentu okkupacyjnego „I wy macie Ojczyznę“ — wydawać by się mogły Archimedesowym wynalazkiem, — gdy tymczasowo nie było i niema kadencji sejmowej, w której by tej magna charta nie rozwijano przed publicznością niemiecką, która mocniejszym na to odpowiada jednakowóż argumentem „Macht geht vor Recht.“ — Co się zaś dotyczy wykrzykników o Jenie, Ejlau, Napoleonie, ojczyźnie Montalemberta i t. p. takowe jako należące do wysokiej polityki a tém samém przeciwko wkraczaniu na toż pole zastrzegłszy się na początku — pozostawiamy autorowi, dodając tylko do punktu Badeńskiego, że posłowie nasi, mając po sobie i tradycję koła i zasady tegóż a bez wątpienia zdrowy zmysł narodowy, nie mogli inaczej postąpić jak postąpili — to jest wstrzymać się od głosowania.

Pozostawałby punkt ostatni, co do nieprzemówienia odrębnego przy prawie karném, a mianowicie §. 85. traktującym o zuchthauzie za za popełnioną zdradę kraju, na który gdybym może się i zgodził i przyznał, że rownież bym przekładał odrębny objaw zdania reprezentacij polskiej i zakreślenie zarazem i zaznaczenie własnego stanowiska względem nowego prawa, to pominąć nie mogę, że i w tym razie niedokładność w referowaniu słów wypowiedzianych, znacznie rzecz samą zmieniła. Przy tejże bowiem sposobności wyraźnie wypowiedział poseł Kantak, „że Polacy nie mogą przyjąć stanowiska ministra sprawiedliwości, wedle którego zdrada kraju popełniona przez kogobądź, który wedle pojęć państwowych za „Północnego Niemca“ uchodzi, zawsze i pod wszelkiemi okolicznościami czci pozbawia. Do tej dopiero wypowiedzianej zasady dodał mowca: Nie chcemy dorzucać dalszych drażliwych narodowych momentów do tej dyskusij, boć wszakżeż stanowisko nasze jest jasne, i dla tego ograniczam się na wypowiedzeniu posłowi p. Hoverbekowi naszej podzięki za gorące słowa, któremi i nasze wypowiedział uczucia, a które zapewne i w tej sali nie jeden znajdą oddźwięk.“

Rozprawa szanownego obórcy, ubarwiona wyrazami o solidardości, o idei narodowej jedności, o policyce narodowej, i t. p. wymierzona głównie przeciwko kołom poselskim w Berlinie a odznaczająca się nieobeznaniem z rozliczemi pracami tychże, schodzi w ten sposób nicomal do tej cyfry, którą szanowny obórca z upodobaniem kilkakrotnie zacytować raczył, to jest do Zera.

Na zakończenie zaś i w dobrej wierze, że szanowny obórca nie miał na myśli, „calumniare audacter semper aliquid haeret“ — pozwolę sobie zwrócić mu praktyczną uwagę: „że wszelkie upominania o język polski przez posłów, w Berlinie „żadnej nie odniosą korzyści, dopóki ta solidarność w kraju najusilniej nie będzie przestrzeganą i zachowywaną, — dopóki wszyscy w czynnościach z władzami bądź to administracyjnemi bądź to sądowemi, nie odrzekną się raz na zawsze grzecznej zasady, zrzekania się języka polskiego; dalej, że wszelkie upominania o rozprzestrzenianie i utworzenie nowych szkół i gimnazjów zbytecznemi prawie będą, dopóki majętniejsza część obywateli, nie poprzestanie po zagranicznych zakładach kształcić swoich dzieci, — że wobec wszelkiego zamarcia poczucia narodowego, wobec wyparcia się wszelkich gorętszych uczuć dla kraju, kurta zuchthauzowa za sprawy polityczne nie będzie synom naszym zagrażała, a my ostatecznie nie będziemy w konieczności powtarzania im, by do dyskussji nie dorzucali dalszych drażliwych narodowych momentów, — bo oni sami dosyć przezorni — dosyć oględni.“

Nowe Książki.

Z życia żydowskiego. Obrazki i szkice, wydane przez Jakóba Goldszmita. Waszawa, 1670. 1. 36. str.

Słówko o ważności stowarzyszenia wzajemnej pomocy subjektów handlowych wyznania Mojżeszowego w Warszawie, skreślone przez Jakóba Goldszmita. Warszawa, 1870. Dochód na korzyść stowarzyszenia str. 15.

W życiu narodów i państw, gdy przyjdą chwile przesileń i walki występują dopiero wszystkie żywioły społeczne jako czynniki odrębne i

upomianające się samoistności. Tak samo w ciele chorego człowieka organa rażone boleścią wydzielają się z całości i kosztem ogólnego zdrowia, skupiają w sobie nadmiar życia — Widziemy tego przykłady mnogie, i w polityce trapi bezsilnych ideologów niepomierna żądza urobienia jednolitego społeczeństwa, aby nigdy w podobny rozstrój nie padło. Marne to zabiegi, bo w danej chwili rozkładu, staną przeciwko sobie tak samo klasy społeczne jak indziej stawały zmieszane narodowości, dalej wyznania i wiary, dalej wszystko cokolwiek zaboleje uciśnione i uciskiem się uczuje oddzielném. Mamy tego przykład nie tylko na Polsce samej, na Austrij; mamy do pewnego stopnia na silniejszej pozornie Rosji, która chcąc zjednoczyć i zlać co tylko połączoném a nie pochłoniętém być by mogło, wywołuje poczucie się udzielne swych części składowych. W nieszczęśliwej Polsce jej tolerancja odwieczna przysposobiła na dziś nieprzyjaciół. Co w jej łonie żyło spokojnie i rozrastało się a krzewiło swobodnie podżegnięte przez nieprzyjaciela obróciło się przeciwko niej.

Szczęściem nie możemy tego zarzucić Izraelitom polskim w ogóle, u których — wyjątków nie licząc, znaleźliśmy w ostatnich czasach współczucie i szlachetniejsze zrozumienie naszego i ich położenia. Zapisuje też historja wszystkie fazy zjednoczenia, wszystkie poświęcenia, wszystkie dowody wierności lub zaprzaństwa. W prowincjach polskich pod panowaniem rosyjskiém Izraelici w chwilach twardych, dali dowody braterstwa i tego się im nie zapomni. — Cześć im przynosi ta pamięć serca w chwilach niedoli.

Zapatrując się na obszar cały dawnej Polski, widziemy że rozsiani po niej Izraelici, rozmaitym wszakże wpływom ulegli. Najwyżej wykształceni w Królestwie zbliżyli się pierwsi do społeczności polskiej jako Polacy; w zachodnich prowincjach, na Litwie, Wołyniu, Ukrainie mniejsze wykształcenie a dola gorsza pochyliły ich ku sile przeważnej Moskwy. W zaborze pruskim prawie bez wyjątku pociągnęli ich ku sobie zniemczeni Izraelici rolę przeważną odegrywający w stolicy Prus i krajach niemieckich. Naostatek z pociechą widziemy w Galicij, jeśli nie społecznie zrealizowany, to nakreślony, jako zadanie, sojusz z Polską, który każda chwila wzmacniać powinna. Nie tyle się tu czyni ile by zrobioném być powinno na drodze z jednozcenia — ale przynajmniej usiłowania widoczne.

Zdaje się, iż jedném z zadań wieku jest praktycznie dowieść jak fałszywą była i będzie zawsze idea poszukująca siły nie w harmonijnym doborze żywiołów różnych, ale w pięściowém zbiciu na miazgę i stworzeniu z nich masy, którąby radykalizm do swej plastyki świętokradzkiej mógł się posługiwać. — Rosja odpowiednio swemu charakterowi i stopniowi swej cywilizacij bawi się w niebezpieczne miażdzenie narodowości i wyznań; Polska w trudzie i krwawych potach dorabia się jedności w chwili, w której najtrudniej jest ją wyrobić.

Rosja ma za sobą karabiny, więzienia, postrach, przekupstwo, urok potęgi, Polska tylko blask prawdy, siłę idei wielkiej i jasnowidzenie przyszłości.

Zbytecznem by było wypowiadać, jak pocieszającém dla nas jest każdy dowód pracy w braterskim duchu, choćby on nie miał na celu więcej nic nad oświatę i podzwignienie jakiejkolwiek cząstki naszego społeczeństwa, bo oświata to rękojmia lepszej przyszłości. Z uczuciem też radosném wzięliśmy do rąk dwie na przedzie wzmiankowane książeczki, z których jedna na dochód Ochrony dla chłopców wyznania Mojżeszowego w Warszawie jest przeznaczoną, druga na dochód stowarzyszenia subjektów handlowych.

Mówmy naprzód o obrazkach z życia żydowskiego.

W słówku w stępném wspomniał autor panią Eleonorę Pechkranz, pierwszą założycielkę ochrony dla dziewcząt izraelskich i słusznie przywiódł jej słowa, wyraz najlepszy celu jaki sobie załozyła. P. Goldszmit pracuje za jej przykładem nad założeniem ochrony dla chłopców. Ochronka to najpierwsza szkółka, a pierwszy krok na drodze oświaty — najważniejszy.

Obrazki i szkice — są zajmujące. Życie żydowskie u nas nowe. W Niemczech wiele i wybornie na tém tle pracowano, z artystyczną umiejętnością użytego tematu, że innych nie wspomniemy prócz H. Schiffa i Leopolda Kompert'a. P. Goldszmit, sam się zrzeka wszelkiego kunsztu, a szuka tylko prawdy; lecz jedno nietylko nie wyklucza drugiego, ale je podnosi i w nowym blasku przedstawia.

Tak na przykład kanwa rozsnuta w obrazku „Szadchonim“ fotografowanym z rzeczywistości, wiele a wiele by zyskała, gdyby ją zadzierzgano żywszemi barwy, gdyby to co autor wyraża uwagami, słowy, wypisało się plastycznie, dramatycznie i samo wypowiedziało a uprzytomniło czytającemu. Jest to raczej temat do obrazu niżeli obraz żywy, wszakże nie bez zalety, bo schwycony z rzeczywistości.

Oprócz Szadchonim czyli kojarzycieli małżeństw, zeszyt ten zawierza Witwickiego poezją, jednę z najudatniejszych jego „Ruth“ i biograficzny szkic z życia Michała Jozef. Guzikowa, artysty jedynego w swym rodzaju, który ze drzewa i słomy dobywał dźwięki czarodziejską ducha siłą.

Słówko o stowarzyszeniu subjektów gorąco napisane, do serca przemawia. Ze współczuciem bratniem witając te skromne prace p. Goldszmit'a życzemy im i celowi ich powodzenia z całej duszy.

Szczęść wam Boże.

Dr. Omega.

Rocznik Towarzystwa Historyczno Literackiego w Paryżu. Rok 1869. Paryż Księgarnia Luxemburgska. 1870. w 8vo str. XX i 310. — (Rok czwarty).

Nie będziemy podawać w wątpliwość użyteczności stowarzyszeń do pracy umysłowej, akademij, towarzystw, komitetów i t. p., chociaż często bardzo, mimo uznanej potrzeby ich i zasługi — mogłoby sceptykowi na myśl przyjść — czyli też w dziesięciu więcej się zrobi niż pojedyńczo, gdy ostatecznie każdy działa z osobna. Stowarzyszenia wszakże mają tę władzę, że do pracy pobudzają, że nią kierują, że uznanie jej, o które trudno, wywołać mogą, że powagą swoją znaczenie nadają dziełom członków. — Dzieje się wszakże bardzo często, iż w braku inicjatywy towarzystwa długo spoczywają, nim je coś do życia obudzi.

Tak było też z Historyczno-literackiem Towarzystwem paryzkiem, które od roku 1862 — do roku 1865 — pod wpływem smutnych wypadków, niedozwalających oddać się pracy spokojnej, zdawało się zmartwiałem, aż oto z r. 1866., dzięki rozbudzonej gorliwości swych członków, poczęło dawać znaki życia pożądane.

Stowarzyszenie naukowe polskie w Paryżu tak uposażone jak historyczno-literackie, mające piękne zbiory, dom własny i jakie takie, acz szczupłe fundusze, jest prawdziwym skarbem dla tułaczów, nieoszacowanem ogniskiem, u którego zebrać i ogrzewać się mogą i powinni. — Los więc Towarzystwa, jako ważnej instytucji narodowej, wielce z nas każdego obchodzi.

Od r. 1866. poczyna się dlań, jakby nowy perjod życia, z wydawaniem Rocznika.

Inicjatywę wydawnictwa należy przypisać p. Br. Zaleskiemu, który od lat kilku pracowicie i wybornie go redaguje.

Ale z najlepszymi przyjaciołmi czasem się potrzeba pokłócić. Rocznik Tow. jest książką pożyteczną i miłą, tylko czy to jest Rocznik Tow. czy B. Zaleskiego — to pytanie. Rocznik Towarzystwa winien być, ściśle biorąc, prac jego zbiorem, działalności obrazem, żywota objawem. Za mało przez tę książkę mozolnie, poczciwie, pracowicie i z talentem redagowaną widzimy towarzystwo i członków. — Za mało tu widzimy śladu zbiorów Towarzystwa i Sprawozdań z posiadanych przezeń rękopismów, rzadkich ksiąg i t. p. Jest to jedyny zarzut, którybyśmy publikacji tej uczynić mogli.

Rocznik ten Towarzystwa jest, bez mała, sprawą jednego umęczonego człowieka, za spoczynek jakiego towarzysze doznają.

Możeby się tu znalazło coś którego z tych towarzyszów, ale jako w poprzednich tak w tym Roczniku, najgłówniejsza część pracy przynależy Zaleskiemu, jego jest Wstęp o zakładach polskich na wygnaniu, — jego Stosunki z Portą Ottomańską w początku panowania Stan. Augusta... jego obrazek wyborny, Wojennego naczelnika na Litwie, jego Nekrologja i t. d.

Ale idźmy do szczegółowego rozbioru, — na który ta księga zasługuje.

Mijamy troskliwe sprawozdanie z zakładów publicznych w Paryżu dla Polski przeznaczonych, jest to świadectwo życia, któremu posiłku z zewnątrz i sympatji braknie — Francja daje gościnność, chwali cnoty nasze i umywa ręce od reszty.

Rocznik rozpoczyna się znakomitą rozprawą bezimienną, która bodaj czy nie na konkurs jaki, o ile sobie przypominamy, przeznaczoną była — noszącą tytuł:

„O przyczynach słabości rządu polskiego w ostatnich dwóch wiekach XVII. i XVIII. z ocenieniem krytycznem przykładów historycznych instytucji i charakteru narodowego.“ — Godło z Bielskiego: „Ale o rządzie szkoda u nas mówić.“

Samo zadanie brzmi jakoś dziwnie trochę, bo przyczyn słabości XVII. i VIII. wieku oczywiście nie w nich, tylko w poprzedzających wiekach szukać potrzeba; a przykładów instytucyj i charakteru — trudno zrozumieć, co mają oznaczać? Mijając to określenie nie jasne, przechodzimy do samej rozprawy.

Maluje ona nam w bardzo wyrazisty sposób rozprzężenie Rzeczypospolitej w dwóch ostatnich wiekach jej bytu, dowodzi oczytania, erudycji i umiejętnego zestawienia faktów; — ale jest to raczej obraz skutków niż przyczyn słabości rządu polskiego.

Nawykliśmy od niejakiego czasu składać winę upadku Polski na jej instytucje, na prawo, na anarchiczną szlachty swawolę; lecz odwróciwszy oczy na chwilę od jaskrawych faktów, zawsze przywodzonych na dowód anarchji, a zastanowiwszy się nad naturą praw rzeczypospolitej, pomimo tego, iż one do absurdum niekiedy doprowadzały ideę swobody i praw osobistych człowieka, znajdziemy to, co znalazł Hüppe w rozbiorze zasadniczych instytucij Polski, że nie tyle one grzeszyły, jak ludzie, co ich nadużywali. Przyczyn właściwiej by było badać może w obyczajach narodu i skażenia ich poszukiwać jako źródła wszelkiego złego.

Zkądże mogło przyjść ono skażenie obyczajów, jeśli nie z wad wychowania i z braku oświaty, której upadek datuje od XVII. wieku? — A oba te fakty czyli nie synchronizują z temi zmianami systemu wychowania i opanowania szkół przez Jezuitów? Dalecy jesteśmy od systematycznej niechęci przeciwko zakonowi, który mógł mieć swe zasługi, ale trudno nie widzieć w historji naszej nieszczęśliwego wpływu, jaki przez szkoły wywarł na całą społeczność, na obyczaje, na wewnętrznego ducha narodu...

Instytucje wyżej stały od ludzi, co ich nie dorastali, z tej dysharmonji między prawami stworzonemi dla cnotliwych a wypotrzebowywanemi przez zepsutych, wychodziło wszystko zło. Polska w istocie potrzebowała może innych instytucji, gdyż wielkiej idei zawartej we własnych prawach już spełnić nie była w stanie.

Osłabienie władzy monarchicznej, to dziś ostatnie słowo naszych dziejopisarzów, i z rozprawy też o której mowa, więcej się nie dowiadujemy nad to, że monarchowie mieli ręce związane, a szlachta bujała i ojczyznę do grobu poprowadziła. Sprawę tę wszakże jeszcze sąd nowy dziejów przed swój trybynał powoła.

Idę dalej. O. Hieronima Kajsiewicza Listy Zaatlantyckie, których pierwszych cztery już były znane i w osobnej odbitce. — Opis to wrażeń pielgrzymki kwestarskiej zajmujący i żywo skreślony. Między innemi wycieczka do Brazylji ciekawa. Mało tu nawet alluzij, któreby drażnić mogły. W jednem tylko miejscu czytamy:

„Może też i my w końcu dojrzejemy, wyobraźnią i uczuciowość wymieniamy na rozsądek i rozum polityczny.“

Znać więc, że rozum, który w rzeczach wiary jest tak zgubnym, w polityce tylko pożądany.

W jednym z listów jest też pochwała dzieła p. Veuillot'a, któreby, jak mówi O. Hieronim, i biskupowi nawet niejednemu honor uczynić mogło. Pisarz to niechybnie z wielkim talentem, ale nikt nadeń przecie więcej katolicyzmowi nie zaszkodził. Całą szkołę za sobą prowadzi, do którejby się Mistrz a Zbawiciel nasz nie przyznał. Obcina uszy Malhusom, częściej jeszcze za uszy targa, ale Chrystus Pan nie pochwalał takiej szermierki.

Stosunki Polski z Portą Ottomańską na początku panowania Stanisława Augusta, obrobił wedle oryginalnych dokumentów z archiwów książąt Czartoryskich p. Bronisław Zaleski. Jest to ciekawy przyczynek do dziejów tego czasu, podający wiele nieznanych szczegółów i całkowitych aktów. Należałoby owe 5 woluminów wyczerpawszy, rzecz tę drukować osobno.

Bitwa pod Grochowem i Białołęką, opisana przez generała Breańskiego, to znowu materjał wyborny do nienapisanej dotąd historji wojny 1831. r. równie jak Autobijografja hr. Wł. Ostrowskiego. Czytając ten życiorys a oglądając się w koło, serce się ściska. — Gdzie my podobnych temu ludzi znajdziemy, z tą czcią dla honoru narodu? z tem poczuciem obowiązków? z taką gotowością do ofiary?..

Mniej nas zajęło Sprawozdanie z czterodniowej dyskusji nad sprawą polską w parlamencie frankfurckim 1848 roku, ale i to — epizod dziejów naszych i stosunków międzynarodowych.

Nic nie dorównywa żywemu obrazkowi Moskala, wojennego naczelnika dwóch powiatów Litwie, skreślonemu z opowiadań B. Swiętorzeckiego przez Bronisława Zaleskiego. Kaładiejew jest nieoszacowanym typem, któregoby najbujniejsza fantantazja wymyślić nie mogła — Z obrazu tego tchnie prawda fotograficznie ujęta. Byłoby to niemal bajecznem, gdyby nie było prawdziwem. Znaliśmy różne gatunki Kaładejewów bledsze i z warjantami, tak jednoczącego w sobie dzikość, z niedojrzałą oświatą, liberalizm i specyficznę moralność moskiewską ze zepsuciem i barbarzyństwem — trudno drugiego spotkać.

Kaładiejew pozostanie w historji męczeństwa polskiego, jako najwybitniejszą postać oprawcy, stworzona dla dziejopisa, — upokarzająca fantazją powieściopisarzy.

Miłe jest wspomnienie pośmiertne Zofji Węgierskiej przez Leona Kaplińskiego, i postać też to była niewieścia cale u nas nie pospolita, pełna uroku smutnego.

Wspomnienia historyczne o Władysławie Białym, kciu na Gniewkowie przez p. J. Bartkowskiego, wsparte jest dokumentami z akt w Dijon wyjętemi, gdzie, jak wiadomo, skołatany pretendent do korony polskiej zakończył. Więcej dotąd pewnie grobowe jego wieko, po kilkakroć sztychowane, znanem było, niż losy i dzieje.

Jak zwykle kończy się Nekrologią obfitą, niestety, bo na wychodztwie mrze się łatwo, a nawet bez wstrętu śmierci, która przychodzi, jak anioł spoczynku i pocieszenia.

Część ta opracowana też, o ile się dało, starannie i sympatycznie dla mogił, które jutro zapomnieniem porosną.

Wymienim z tego działu, bijografję Ciechanowskiego, Czwierczakiewicza, Fontany, Jabłońskiego Henryka, Koskowskiego, ks. Praniewicza Trentowskiego i Wieruskiego.

Nową a bardzo użyteczną jest Bibliografja polska z r. 1869. obejmująca rzeczy nasze lub przez ziomków napisane, a za granicą wyszłe. Z wielą się tu spotykamy książkami, o których nas była wieść nie doszła.

Z tego bardzo treściwego rzutu oka na Rocznik, już zdaje mi się o wartości jego, o redakcji wielce umiejętnej sądzić można. Pozostaje tylko do życzenia, aby kraj podtrzymując pożyteczną tę publikację o większe jej rozpowszechnienie się starał.

Dr. Omega.

Rozmaitości.

— Nie wiemy o ile wiadomość ta jest prawdziwą, ale Gazeta polska donosi, że w Kijowie za dozwoleniem cenzury p. Ignacy Trusiewicz ma wydawać polskie pismo zbiorowe — Kwiaty i Owoce, ze współpracownictwem A. Nowosielskiego (Marcinkowskiego). — Zapowiadają w nim dramat A. Grozy — Mistrz Twardowski. Prenumeratę przyjmuje księgarnia Günthera i Małeckiego w Kijowie. Od r. 1863. jest to pierwsze polskie pismo obszerniejszych rozmiarów, mające się ukazać w Kijowie, gdzie wyszło tylko parę rozpraw (o przysłowiach A. Weryhy Darowskiego) i parę pamfletów. W Wilnie dotąd żadnej pono książce polskiej wyjść nie dozwolono, a drukarnia Józefa Zawadzkiego niegdyś tak czynna, zamkniętą została i Listy z Krakowa Kremera, J. Zawadzki zmuszonym był drukować w Naumburgu u Paetza, gdzie już kilka książek polskich wyszło.

Kwiaty i owoce, zdają się zwiastować łagodniejsze obejście z językiem, którego zakazywanie nietylko jest barbarzyństwem ale w dodatku śmiesznością.

— Znany wynalazca nowego języka kaszubskiego, Dr. Florjan Cejnowa wydał znowu pierwszy zeszyt pieśni kaszubskich i — Skarb kaszubskiego narzecza, w którym ciekawy jest spis miasteczek i wsi polskich po niemiecku poprzezywanych, w rejencji gdańskiej, kwidzyńskiej i w powiecie kościerzyńskim, — powiastki, przysłowia, rozprawki. Pisma tego jeszcześmy nie oglądali. Dawniejszy zbiór kaszubskich „frantówek“ tém się odznaczał szczególniej, że zawierał wiele pieśni cynicznych, które u ludu polskiego są bardzo rzadkie, — niektóre z nich zdają się stare, inne wyrobiły się pod wpływy nowemi. Cejnowa drukuje w Gdańsku u H. F. Boeniga i w Świeciu nad Wisłą, u J. Hauffego. U Kaszubów do dziś dnia drukarz zowie się — „Czarnoksiężnikiem“ — i słusznie boć czarno książki odbija.

— Wyszły zajmujące pamiętniki Hektora Berlioza, członka Instytutu. Obejmują one podróże jego po Włoszech, Niemczech, Rosji i Anglii (1803 — 1865) — (Wielkie 8. 520 str. Cena 12 franków.)

— Przed niewielą dniami, Francuz pewien adwokat z Albi p. Crozes, podróżując po Włoszech i przybywszy do Rzymu, gdy zwiedzał Bazylikę Św. Piotra, postrzegł że główne wnijście, wielkie drzwi kościoła nie odpowiadają prostej linij wnętrza i nawy. Rozmierzywszy pilno przekonał się, że od średnicy pozostają one w lewo a uchybienie wynosi 1 metr, 50 centm. Fakt ten, który przypisać należy architektowi Carlo Moderno, bo on kończył budowę zaczętą przez Michała Anioła, z początku zdał się do wiary niepodobnym. We wszystkich dziełach wydanych z planami i przecięciami bazyliki drzwi są pokazane na samym środku. Uwagę p. Crozes zakomunikowano P. Secchi dyrektowi obserwatorjum, który odpowiedział iż o tém nic nie wie. Komissja architektów nadzorców Św. Piotra wierzyć temu nie chciała. Ale jeden z członków jej Komandor Martinucci sprawdził na miejscu fakt i przekonał się o prawdzie jego, Osłupiały, wniósł że należy fakt ten ukryć, aby sławie budowy nie szkodził. Inni członkowie komissij byli przeciwnego zdania (Sarti Vespigniani — Bonini) — otoż ma się rzecz rozstrzygnąć dopiero większością głosów, czy omyłka ma być zatajoną czy ujawnioną. Stara szkoła głosuje za milczeniem, Sarti i młodsi za jawnością.

— W Warszawie wyszło tłumaczenie dzieła O. Gratry — „Les sources“ przez Jana Hempla kand. fil.

— P. B. Smoleński fotograf w Warszawie (firma W. Twardzicki) wynalazł sposób otrzymywania z pomocą galwanoplastyki kliszów kruszcowych z fotograficznych do odbijania czyli drukowania, na sposób Albertotypij. — Wynalazek to nie nowy. ale jeśli się praktyczniejszym okaże od używanych dotąd, bardzo stać się może użytecznym. Albertotypija, której proby z zakładu p. Wal. Rzewuskiego wyszłe widzieliśmy, daje odbicia wyborne, ale stosunkowo wiele czasu wymagające i za kosztowne.



— Pani Z. Sprostowanie tyczące się śmierci Sawy nie jest dokładne. Obraz przedstawia zapewne nie śmierć, ale ujęcie Sawy, którego zdradził żyd felczer ze Szreńska. Jak wiadomo ranny, ukryty był w lesie, tu został wzięty i zawieziony do Prasnysza, gdzie bandaże z ran zdarłszy, wierny przysiędze, umarł. Nie był z placu walki pojmanym, jak pani pisze, ale z ukrycia w lesie. Tę chwilę obraz p. Kozakiewicza przedstawia.

— P. K. D. — w Berlinie. — Nasza wina żeśmy nie odpowiedzieli, ale prosim o przebaczenie z powodu nawału pracy. Żądaniu z przyjemnością zadość uczyniemy.

— P. T. J. w Husiatynie austrjackim należy odezwać się o exemplarz tam gdzie prenumerata złożoną została.

— Dr. J. J. — Rekopism otrzymaliśmy i dziękujemy.

— Będąc częstokroć zmuszeni sprawozdania z nadsyłanych nam przez wydawców i autorów dzieł, odkładać dla obfitości materjałów, które z natury swej starzeją rychło, postanowiliśmy tymczasowo ogłaszać tytuły otrzymanych książek, nim ich rozbiór w Nowych książkach umieścim.

Ofiary dla ks. K. Sosnowskiego.

P. Piotr Falkenhagen-Zaleski tal. 2.
Razem 22 tal. 25 złp. w złocie i 114 franków.

(Dodatek.)

Dodatek do TYGODNIA Nr. 26. z d. 26. Czerwca 1870.

KOCHAJMY SIĘ.

OBRAZKI Z ŻYCIA WSPÓŁCZESNEGO

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Sokratyczna jego twarz tego wieczora uderzała bardziej jeszcze wyrazem poważnego wesela... uspokojenia jakiegoś z głębokiej płynącego wiary — przypominało czoło to jasne nasze północne niebo, gdy na mróz zimowy się wyiskrzy.... Duch przez jakiś czas zamarły w nim pozornie, budzić się zdawał i rozniecać — energja wracała... słowa płynęły z ust z łatwością, z wdziękiem właściwym ludziom epoki, w której uprzejmość należała do zalet towarzyskich.

— Patrzajcież no — rzekł hr. Roman do Ukraińca po cichu — nastraszyli nas mówiąc, że stary słaby, że umiéra, że gaśnie, a on — sto lat żyć będzie i nas wszystkich pochowa. — Posłuchaj głosu, spójrz w oczy... my jeśli jego dożyjemy wieku, wyglądać tak nie będziemy.

— To pewna, odpowiedział Micio — młodszy jest od wielu z nas, choć wszystkich z nas ile nas tu jest mógłby być ojcem, wielu dziadem a niektórych pradziadkiem.... Ale ci starzy wszyscy to — *wrześniaki!* dodał śmiejąc się.

— A tobie zawsze twoje stado w głowie! — rozśmiał się Lutyński.

Najbliżej sofy, na której mieścił się gospodarz, usiadł pułkownik, który tego dnia w męzkiem towarzystwie się znalazłszy bardziej był szlachcicem starego kraju niż nowym hrabią.

Oba towarzysze patrzali na się ze spokojem ludzi stojących u mety.

Tatko powiódł oczy po młodzieży i westchnął.

— Co mówisz przyjacielu? ozwał się kładnąc rękę na kolanach gospodarza pułkownik — hę? czy oni nas zastąpią? będzie co z tych młokosów? kocham ich jak dzieci — ale czasem wpatrzywszy się — to bym tłukł....

— Czasem i ja boleję, gdy ich zobaczę w złą chwilę — odparł Tatko — ale ja o nich nie rozpaczam... ani o sprawie dzięki Bogu. W najgorszych coś się potém polskiego odezwie. Dla duchowego ich ubóstwa nić narodowych tradycij nie zostanie przerwaną.... Wszystkie narodowości, które zczezły marnie — wedle staroświeckiego wyrażenia — poginęły nie inaczej jak przez gwałtowny wpływ jakiś, który zerwał tradycje i ich, jak gałąź od pnia odciętą, obalił na ziemię. — Gałąź żyła chwilę — i uschła, lub puściła czepiając się ziemi i stała się mizernym krzakiem. Dopóki trwa tradycja polska i przerabia się a kształtuje do potrzeb wieku, póty i żywota naszego — oderwawszy się od niej, przepadlibyśmy....

Młodzież nasza, niestety — niewiele dziś dba o polską ideę.... Coś to podobnego z patrjotyzmem się stało, jak bywa u ludzi wybrednych z jedzeniem. Wykwintne usta nie tkną łyżki, z której jadł biedny chłopisko, taksamo u nas patrjotyzmu tykać teraz nie w modzie, bo go demokratyczne ręce czy usta im zbrukały.... Ale to przejdzie. — Z młodzieży wiele pójdzie w plewę, zawsze jednak zostanie trochę takich, co tradycją przeniosą dalej i nici się zerwać nie dadzą. — Nie rozpaczajmy....

— Daj to Boże — westchnął pułkownik. — Polska — słusznie to powiedziano, samobójstwem tylko zginąć może.

— O! nie zginie — nie zginie! zawołał Tatko, dopóki godło mojego kielicha w sercu nosić będzie.

Wtém drzwi otworzono do sali jadalnej, oświeconej rzęsisto.... Pułkownik podał rękę gospodarzowi, który się podnosił z trudnością — i ująwszy swój kielich ze stołu, posunął się zapraszając gości do sali. O. Paweł podpierał go z drugiej strony, bo stary ledwie się mógł na nogach obrzękłych utrzymać. — Hałaśliwie poczęli wszyscy miejsca zajmować — gospodarz zasiadł w jednym końcu, w drugim O. Paweł, który mu w przyjęciu pomagał i był gospodarzem.

Wśród tej uczty nieco dziwnej, złożonej z ludzi, którzy nie łatwo się gdzieindziej spotkać mogli, panowała jednak niezamącona dotąd zgoda i harmonija, które towarzystwo zawdzięczało czujnemu oku i słuchowi Tatka, umiejącemu zbliżać i godzić najsprzeczniejsze żywioły.

Wrzawa wesoła wzmogła się po kilku wina kieliszkach — pułkownik opowiadał wojenne i więzienne przygody, inni też z najróżniejszych kraju kątów przybyli, mieli każdy coś ciekawego do udzielenia o swoich stronach i losach. — Każdy człowiek i ziemia innemu podlegały męczeństwu. Traf sprowadził na dzień uroczysty jakby umyślnie i świeżo wykutych z kopalni sybirskich, i powróconych z Ameryki i wypuszczonych z Ołomuńca, i ułaskawionych ze Spandau, i zbiegów z cytadelli Warszawskiej, i zestarzałych w Archangielsku, i przemrożonych nad Bajkałem, i porąbanych na Kaukazie, i ogorzałych w Egipcie i schorzałych w Meksyku.... Los chciał, by te agapy polskie zgromadziły różnorodne typy narodowe, wszelakich apostołów, różnych pojęć i przekonań ludzi.

Byli tam co pragnęli zbawić Polskę przez ogień i miecz rozpasanej rewolucji — co ją mieli ocalić przez wiarę i opiekę Bożą, przez duchy, posty i modlitwy — co uwierzyli w tajemniczą postać Napoleona III. — co się spodziewali ocalenia od Prus, co ukochali Anstrją — a nawet tacy — najrzadsi — co przez Słowian dojść chcieli do Polski i nie wątpili, że jeszczeby się ze sfanatyzowaną a skrwawioną Moskwą przejednać można.

Znalazł się i taki Polak, który po polsku zapomniał — ojczyzny się zaparł, a w żadne już zbawienie wierzyć nie chciał.

Przecież cudem łaski jakiejś szczególnej żywioły te tak z sobą sprzeczne, choć z jednego ciała i krwi zrosłe — chwilowo się z sobą godziły.

Gwar rosnął, śmiechy panowały nad rozmową, gdy staruszek podniósł rękę do góry, a pułkownik siedzący przy nim, stuknąwszy o stół zawołał — *Silentium!*

Wszystko się uciszyło, zamilkło; głowy powysuwały ciekawe, milczenie jak mak siał... a w chwilę potém jasny jeszcze i srébrzysty ale osłabły głos staruszka dał się słyszeć od końca stołu.

Mówił zwolna, przerywanym, rozrzewnionym głosem:

— Bracia moi najmilsi w Chrystusie i w Polsce!...

Ze wszystkich nas, co ten stół otaczamy, ja jeden pamiętam jeszcze Polskę całą i nierozszarpaną... pomiędzy nią a wami zostałem samotném ogniwem... które wkrótce pęknąć musi. Pozwólcież mi, dokonywającemu żywota co przetrwał wszystkie boleści, w imie macierzy, którą pamiętam, przemówić do was z serca głębi.

Sto lat nie upłynęło jeszcze od katastrofy... a polski duch tylko i imie zostało — lice zniknęło... okrwawione, podarte, zmieniło się do niepoznania.... Ziściły się strasznie co do słowa, przerażające przepowiednie Skargi, bo święty mąż przyczynę klęsk przewidział....

Nie kochaliśmy jak było potrzeba ani ojczyzny, ani siebie, wielki zasób miłości naszej szafowaliśmy na biesiady i godło narodowe spadło na kielich w ostatku....

W chwilach niebezpieczeństwa lada postrach rozbijał nas jak spłoszone stado. Naówczas wilcy przychodzili i brali zeń kogo chcieli: Sobieskich do twierdz... a Sołtyków na Sybir. I było w domu jak w niewoli, bo nikt spokojnie pod własnym nie usnął dachem... gospodarzyli u nas, kto chciał i jako zapragnął.

Dopiero klęska obudziła z uspienia i gdy już Polski nie było, na obcej, na tutejszej włoskiej ziemi rozległ się śpiew — Polska jeszcze nie zginęła!!! W istocie żyć zaczęliśmy po śmierci dopiero....

Jak na twarzy konającego dziwny spokój i pogoda, tak

na obliczu Polski po zgonie zajaśniały jej cnoty.... Krzewcie je — o bracia moi!! Wy, co zostaniecie żywi po mnie — ponieście uśpionej Polski zwłoki na ramionach waszych i oddajcie pokoleniom następnym, czekając dopóki godzina zmartwychwstania nie uderzy.

Moje oczy jej nie doczekają.... Stary, czuję jak ze mnie ostatki życia uciekają. — Jeszcze może godzin kilka a zasłona zapadnie i z aktora przeszedłszy na widza, patrzeć będę z góry na walki i łzy wasze.....

Nim umrę... chciałbym wam z piersi dobyć i oddać a wszczepić starej Polski słowo....

Wierzajcie mi, nawet onego czasu, gdyśmy się szarpali, miłość była narodu hasłem.... Może aby go nie zrozumiał nieprzyjaciel, wróg nie wydarł, macierz troskliwa schowała je w głąb kielicha... i pogrzebła śmiesznością toastu.... Powtarzaliśmy w uściskach to testamentowe Polski słowo, nierozumiejąc go:

„Kochajmy się!“

Wielkiego znaczenia słowo!

Jest ono talizmanem przyszłości, a gdy się oczy otworzą i zrozumienie je — gdy miłość połączy serca i dłonie, gdy do ofiar pobudzi, gdy zjednoczy i zwiąże w jeden *snop*, godło starej Polski... naówczas i stara macierz wstanie z grobu....

Wielkie to, o wielkie słowo — miłość, ale je wielkiem sercem ująć potrzeba. Nie nadaremnie w Polsce wszyscy się zwali bracią, bratem zwał szlachcic szlachcica, bratem witał wieśniaka, brata chciał mieć królem; nie darmo w kielichu piliśmy miłość, łamali opłatkiem w wieczerzy, jajkiem dzielili w dzień Zmartwychwstania.... Nawet w waśni i bitwie jeszcześmy pamiętali na braterstwo.... Z tém słowem starej Polski, które ma się stać ciałem i czynem dalej a dalej... o bracia....

Przebaczenie ułomnym, miłosierdzie słabym, powolność zbłąkanym, opieka wszystkim, miłość najmniejszym i największym miłość.

Uśmiechnijcie się ze starego.

Zrozumieliście już, że lud kochać potrzeba, schylacie się do ludu... ale jest jeszcze miłość jedna, o której zapominacie. Kochacie małych, bo to wielkości waszej dogadza, nanauczcie się jeszcze kochać tych co was przerośli... kochać możnych i panow choćby dla tego, że są biedni i ubodzy na duchu....

Tej miłości także wymaga po was przyszłość narodu; — kochać ich trzeba, aby nie odpadli od niego i nie przyrośli do innych. Śmiało ku nim kroczcie, powołując ich do wspólnego życia, przebaczcie im wiele jak nieoświeconemu ludowi, bo i im chrześciańskiej oświaty braknie.

To będzie ofiarą i zasługą....

I oni są kością z kości waszych... niech nie spruchnieją odcięci....

Bracia... po raz ostatni, wszyscy ale wszyscy w imie Polski... okrzyknijmy hasło zbawcze:

Kochajmy się...

kielich niech idzie koleją i niechaj powraca do mnie.

Głosu zabrakło starcowi, dotknął ustami szkła i oddał je pułkownikowi, długie milczenie panowało w sali.... Pułkownik ze łzą w oku podał puhar sąsiadowi i szedł powoli koleją, a nikt przemowić nie śmiał. Niektórzy milczeli uśmiechając się, inni smutnie... w dalszym końcu szeptano coś tajemniczo, starzec głową na dłoni spoczywał.

Gdy kolej przyszła na Stasia... wstał, namarszczył czoło... i drżącym głosem począł jak przy owej pierwszej biesiedzie... ale nie owym dźwięcznym głosem młodzieńczym świeżym i wiosennym.... Coś szyderskiego, dzikiego brzmiało w gorączkowych wyrazach....

Polskę i miłość skojarzone w jedno,
W grob zakopano dwa bliźnięce hasła.
I straż kamienne drzwi grobu zatrzasła,
I siedzą straże a ze strachu bledną....

Czuwajcie stróże! bo grobu się głazy
Dzwigną, rozerwą, padną wam na głowy...
Bo starsze Boże niż Carów ukazy,
I ducha w grobu nie zamknąć okowy....

Powstanie zmartwych co na śmierć skazane.
A w prochy padną i katy i sędzie
Polska i miłość jasnością oblane,
Zwyciężą, a świat Bożym, świętym będzie!

Cicho — wierszowi nikt nie przyklasnął nawet przez grzeczność, skrzywiło się wielu na zmartwychwstanie Polski, której radzi że się pozbyli — hr. Roman uśmiechnął się szydersko i szepnął na ucho sąsiadowi:

— *Croyez y et buvez de l'eau!*

Dobrze wychowany sąsiad świeżo z paryzkiego bruku odpowiedział:

— *Je n'en crois rien, et je bois du vin....*

W drugiej stronie stołu imieniem Polski obudzona rozmowa, żwawiej się zawiązała, bo imie ojczyzny najobojętniejszego poruszy... nawet tych co jej nie chcą — gniewa.

— To największe nieszczęście, rzekł obywatel z Poznańskiego, że my się nigdy porozumieć i na jedno zgodzić nie możemy.... Bądź co bądź... nam by się trzeba jakoś porozumieć i przejednać z Moskwą... i dopieroz na... n a s z y c h! hedż ha!

— Pan tak mówisz, bo żyjesz pod panowaniem pruskiém, przerwał drugi z pod zaboru moskiewskiego — ale prosiemy do nas poprobować uścisku miłych braci Słowian, zobaczycie jak z niemi słodko....

— Ja powiadam — zawołał trzeci żywo — że to wszystko się na nic nie zdało, zbawienie dla nas w Austrji. Ona potrzebuje nas, my jej, wspólność interesów jest najlepszą rękojmią przymierza.

— Piękne przymierze z temi, co galicyjską rzeź zarządzili! krzyknął ktoś z boku.

— To wszystko mrzonki — oburzył się inny przybyły świeżo z Francij, nas żaden rząd nie wybawi, ale — ludy! Przyszłość nasza w rękach europejskiej rewolucij i socjalizmu, który się nią musi posłużyć, a wówczas my...

— Jak pan takie rzeczy mówić możesz! krzyknął ktoś z boku. — Małośmy już mieli tych rewolucij co nas dorzynały.... Nasz upadek winniśmy rewolucjom i wierze w nie. Wróćmy do wiary ojców, a odpokutowawszy za grzechy... dostąpiemy przebaczenia.... Modlitwa... post... skrucha... pokora....

Zaszumiano gwałtownie, mówca nie mógł dokończyć zakrzyczany.

— Francja — podchwycił z boku łysy i pękaty siniejący człowiek — Francja jest, była i będzie milicją Chrystusową — wielką przewodnicą idei, mistrzem sprawiedliwości Bożej — zbawienie nasze we Francij.

— Panowie moi, stukając o stół począł młody człowiek, — biada narodowi, który szuka zbawienia u obcych — Polska nie powinna ręki wyciągać po jałmużnę — zbawienie swe winna być musi samej sobie. Żyliśmy od upadku, za Baru nadzieją w Turcij i Francij, potem gwiazdą Napoleońską, potem wspaniałomyślnością Aleksandra, potem rewolucją ludów i utopjami, i Francją, i Austrją i wszystkiem aż do fabrykowanych proroków, oprócz siebie....

— *A propos* proroków, zaczął znowu starszy, czy też państwo znacie dawną, bardzo dawną, świętego jednego człowieka przepowiednię tyczącą się Polski... która właśnie na 1870 oznajmuje...

— A dajże pan pokój z prorokami! począwszy od Wernyhory mieliśmy ich do syta....

— Za pozwoleniem — za pozwoleniem — odezwał się z kąta niewidziany dotąd, skromnie ubrany człowieczek niepozornej postawy — mówił jeden z panów żebyśmy żyli sami sobą. Ale ażeby żyć, trzeba mieć żywotne siły... naprzód je zbierzmy i wyróbmy — starajmy się o nie, pracujmy w milczeniu. Praca organiczna spotęguje nas i uczyni żywiołem, z którym się rachować będzie potrzeba. Aby nas poszanowano winniśmy, być szacunku godni, dziś, dotąd jesteśmy pośmiewiskiem ludów... *sclavus saltans!*

— Ale! ale, znamy to! znamy! Praca organiczna! piękne słowo! wybuchnął rewolucjonista — czcze samolubnych pasibrzuchów hasło.... Dawniej lenistwo i małoduszność spały okrywszy się Wallenrodyzmem, dziś chcą wygodnie leżeć w puchu pracy organicznej.

— Bracia! nie ma odkupienia bez ofiary — przemówił głos ponury — ofiar i poświęcenia potrzeba, myśmy codzień ich skąpsi... duch ofiarniczy wygasa... ani grosza zebrać na nasze misje, klasztory i seminarja... a przecież nasze choć w nich po polsku mówić nie wolno... to tylko ostrożność... bo ten język to materjał palny....

— Idźmy z Austrją.

— Pojednać się ze Słowianami i Moskwą.

— Nie — nie! — hrabia Bismarck nas wybawi — zobaczycie!

— Przepowiednia wzmiankowana mówi, że orzeł o trzech głowach ma siąść na...

— Stany zjednoczone Europy... stany zjednoczone.

— Dynastja Habsburgów....

Zgiełk powstał nie do opisania, wyrazy jak kule latały, krzyżowały się, mięszały, plątały, wrzawa coraz hałaśliwsza ledwie coś z nich pochwycić dawała.... Symboliczne hasło — kochajmy się, utonęło wśród tej burzy słów i myśli. — Staruszek podniósł głowę, słuchał, dwie łzy płynęły mu po twarzy, potém powoli spuścił ją na piersi, pobladł i drżeć zaczął....

— Mój bracie — pułkowniku... szepnął niewyraźnie bełkocząc — podaj mi rękę — chcę na chwilę wstać od stołu... coś mi się słabo zrobiło, spocznę chwilę, ty mnie zastąpisz....

Stary towarzysz pochylił się ku gospodarzowi — ale już on był zamilkł, konwulsyjnie rękami chwytał za stół, chcąc się podnieść, a nie mógł... twarz mu straszliwie bielała....

O. Paweł z drugiego końca stoła zobaczywszy co się dzieje, przestraszony, porwał się, popchnął krzesło, które się obaliło i pobiegł do Tatka.

— Co to ci jest? co się stało? zawołał chwytając go w ramiona.

— Nic, nic — czuję się trochę niedobrze — ten gwar... gorąco... spocznę chwilę i powrócę do was....

To mówiąc odzyskał uśmiech i wyraz łagodny, oczy błysły i powstał drżący....

— Bracia moi! zaklinam was, rzekł wysilonym głosem, zaklinam was...

Kochajmy się...

Gdy tych słów domawiał a pot mu czoło oblał, kielich właśnie do niego powracał... drżącemi dłońmi objął go chciwie, pochwycił, chciał ponieść do ust... ale sił zabrakło... pochylił się ku krzesłu na pół omdlały, a szkło wytrącone z rąk, padło na ziemię, rozpryskując się w tysiąc kawałków....

Doktór przybyły z Paryża, który siedział w drugim końcu stołu, widząc że gospodarz traci siły, pospieszył na ratunek....

Ale w chwili, gdy nadbiegł do pułkownika i O. Pawła, staruszek, którego oni pochwycili, osunął się bezwładny, głowa na ramiona zwisła... usta otworzył bezsilne, oczy mgłą zaszły... poczciwy Tatko nie żył.

Wszyscy zerwali się od stołu okrążając krzesło — spieszcząc z próżnym ratunkiem i radą... spierając się że to było omdlenie, nastręczając środki otrzeźwienia....

Zimny trup leżał na rękach przyjaciół a u nóg jego stłuczony ostatni kielich z polskim godłem... kochajmy się....

Na widok tej ostygłej twarzy i zwłok kostniejących, kto żyw począł uciekać, rwano się szukając kapeluszów, przytomniejsi kończyli swoje kieliszki... bojaźliwi unikali wejrzenia na trupa, wszyscy uchodzili z trwogą i żalem do nieboszczyka, że ich mógł na taką zaprosić niespodziankę.

Tymczasem O. Paweł, Pułkownik i Fafcio wziąwszy na ręce ciało zwolna je płacząc na łoże zanieśli....

W sali nie było już nikogo, a światła ze stołu przeniosły się wkrótce do naprędce ustawionego katafalku... przy którym klęczał O. Paweł i płaczący Fafcio z różańcem.... Staruszek zdawał się spać spokojnie, a twarz jego rozpromieniła się tém weselem śmierci, o którém sam wspominał był przed chwilą.

Gdy ostygłe ciało wyniesiono na łoże, Staś podszedł ku niemu, przykląkł i ucałował białą — skostniałą już dłoń starca....

Powolnym krokiem wyszli razem z Czarnym, który słowa przemówić nie mógł, ale oczy łez pełne ocierał co chwila. Na zapytania potrząsał głową, usta mu się ścięły... rozewrzeć ich siły brakło.

— Świat teraz puściejszy, gdy w tej piersi ciepłej serce polskie bić przestało... nasz polski świat nie z głów ale z serc się składa, gdy jedno ubędzie... ubywa mu wiele... Szkoda tych ust zamarłych na wieki, co miłość świętą a czystą głosiły.... Stary nasz zaniósł z sobą do grobu ikarowe ku ideałom poloty... których w nas młodych już niema.... On jeszcze na woskiem lepionych ulatywał skrzydłach i miał po temu odwagę, my niesieni na obłoku — lękamy się niebios i wyżyny....

Chodzim sieroty odarte ze złudzeń, z pragnień, nie mogąc całkiem zwierzętami zostać, ani być ludźmi umiejąc... z rozpaczą, z tęsknicą. Gdym słuchał tego człowieka, z którego się śmieli wystygli — czułem że coś jest za światem — teraz....

Ścisnął rękę Beppa i poszedł.... A szedł sam niewiedząc dokąd i zawlókł się na małą uliczkę....

Jakimś instynktem podniósł głowę, postać biała sparta na balkonie stała... domyślił się w niej Cesi.

— Pani to jesteś? zapytał z dołu....

— Pan Stanisław?

— Tak — ja pani....

— Cóż robisz tak późno w ulicy?...

— Błądzę... tylkom co ucałował rękę skostniałą... oczy mam pełne śmierci.... Pani nie wiesz nic?

— Umarł! kto umarł? zawołała Celina....

— Poszedł do drugiego życia! przerwał Staś, nie umarł. Ziemia go może nie była warta, gościem był na niej, wygnańcem, klęknij pani i módl się nie za niego ale do niego. Dusza może błądzi jeszcze nad nami nim uleci w niebo....

— Ale któż? kto umarł?

— Ojciec nasz! zawołał Staś....

— Jakto? przecież był zdrów!... zaprosił wszystkich do siebie....

— Tak, i wszyscy przyszli, aby być świadkami zgonu.... Może mu serce pękło, gdy naszych słuchał rozterek....

Wniósł ostatni raz ulubione — kochajmy się... i leży obok rozbitego kielicha na katafalku.... Hamlet mówi — Smutno! smutno... ja mówię... straszliwie! Cóż Hamlet obok nas? Tam tragedja domowa, tu dramat z tysiącem śmierci.

— Panie Stanisławie, zawołał z balkonu głos drżący... ja chcę posłyszeć od was o tym wypadku, wnijdź pan na chwilę... Mama nie położyła się jeszcze....

— A! tak? dobrze — odparł poeta, nie wiedziałem co z sobą zrobić... idę....

Panna Celina znikła z balkonu a Staś musiał okrążyć, by się dostać na Sistinę... i po drodze mruczał do siebie.

— Hamlet! miałżebym być Hamletem? a Ofelja ta biała postać smętna, co mówi oczyma jak gdyby miała duszę.... Nie! one duszy nie mają! Strassy zamiast dijamenmtów, ale to błyszczy zdaleka....

Bramę znalazł otwartą... wszedł nie widząc nic, i ocucił się dopiero w salonie, w którym paliła się lampa.... Na pół ubrana szła przeciw niemu z załamanemi rękami Hrabina a za nią Cesia.

— Więc ten nieszczęśliwy staruszek tak nagle... mój Boże! apopleksją tknięty!! zawołała matka żywo — i powiadasz pan że umarł....

— Wie pani — odparł nagle Staś — ja w tej chwili nie jestem pewien co śmierć a co życie? Może on żyje a myśmy umarli.... Przed chwilą było w nim tyle ognia i siły, teraz to zimny trup... uśmiechający się z nas....

— Ale z jakiegóż powodu?

— Sprzykrzyło mu się chyba żyć w tak niedobrém towarzystwie — rzekł dziko Staś.

— My się od pana nic nie dowiemy. . . .

— Tak pani — zawołał poeta — jestem za nadto poruszonym a za mało doktorem, nie wiem nic, widziałem tylko jak zbladł, osłabł, pochylił się i skonał.

— Nie było ratunku!

— Doktorów trzech . . . lancetów kilka, ale gorącego uścisku ani jednego, przepraszam pułkownik był!

Ale ja oszaleję — rzekł rzucając się na krzesło i tuląc dłoń do czoła.

Panna Celina przyniosła mu flaszkę z wódką kolońską, ale Stanisław zamiast się nią oblać poniósł do ust i nadpił.

— Co pan robisz? krzyknęła Cesia.

Stanisław wlepił w nią oczy.

Matce pilno było straszną nowinę pójść powiedzieć Fanny, która rozebrawszy się wcześniej, do salonu wejść nie mogła. — Staś i Celina byli sami. Poeta długo, długo zatrzymał wzrok na niej.

— Pani, — zapytał po chwili — czy pani jesteś . . . Ofelją?

— Ja? Ofelją? — zapytała Cesia smutnie — a pan?

— No — a ja byłbym Hamletem, — dodał wpół jakoś obłąkano Staś — ale nie — ja tego nie radzę, Hamlet zawsze jest nielitościwy dla Ofelij, bo Hamlet zwarjował, nie ma serca — nie wierzy w serce.

Czy pani znajdujesz, że Hamlet w istocie obłąkany? czy udaje?

Ja sądzę — ja jestem pewny, że to czysty warjat . . . i Ofelje wszystkie są nieszczęśliwe. Nie! nie! zawołał, wstając nagle do przelękłej Cesi — ja pani nie radzę być Ofelją, chociaż ja może będę zmuszony zostać Hamletem.

Cesia stała zarumieniona, łzy ciekły jej po twarzy milczące — Staś był tak dziwny, tak dziwny — a chwila tak przyjazna poufalszej rozmowie.

— Ofelja . . . była nie tém czém by być powinna — szepnęła cicho — chciała być kochanką, a dla chorego winna była zostać siostrą miłosierdzia.

— Dla chorego? tak? ja w istocie jestem chory . . . ale nie chcę ani Ofelij, ani miłosierdzia, ani siostry. . . .

— Dla czego?

— Bo — jeszcze za świeżych ran nawet najsłodsza dłoń dotknąć nie może, a gdy się one zasklepią to stwardnieje skorupa na sercu i przez nią żadnej nie poczuje dłoni.

Tak! bądź pani zdrowa — dodał wstając Staś, zachowaj mi pamięć dobrą, choć ja niedobry byłem i — no — i warjat. Zapewne się nie zobaczemy — po co? nie mogę? nie trzeba. . . .

Cesia drżącą ręką schwyciła jego dłoń i przytrzymywała ją pomimo woli.

— Panie Stanisławie — ja nie Ofelją, ja nie miłosierdzia siostrą, ale — po duchu siostrą bym ci być chciała. Dla czegóż żegnać chcesz i uciekać?

Stanisław skrzywił usta . . . śmiał się.

— Gdybyśmy byli nieśmiertelni — rzekł — dla czegóż by nie kochać się na tej ziemi po anielsku . . . ale na tak krótko nie warto. — Wierz mi pani, to jest farsa, to życie, to złudzenie, ta miłość . . . i zawsze potém na końcu . . . z miłości nienawiść a z ideału kropla błota. . . .

Ścisnął jej rękę i usta do niej przyłożył . . . był ciągle jakby na pół obłąkany. . . . Na to pożegnanie nadeszła powracająca Hrabina.

— Pan idziesz?!

— Muszę pani . . . muszę . . . rzekł Stanisław . . . żegnam — wyjeżdżam — nie wiem, ale żegnam. . . .

Obie kobiety stały jeszcze, gdy poeta biegiem rzucił się na wschody. W pośrodku skrzyżował się z hrabianką Dorotą, biegnącą na górę. . . .

Ledwie znikł z oczów Cesi, gdy ten gość niespodziany ukazał się na progu.

— Wiecie panie! poczęła idąc ku nim panna Dorota — wiecie! oto palec Boży, który rychlej lub później dosięga ateuszów i wolnomyślących. . . .

Ten nieszczęśliwy starzec wśród pijatyki i wrzawy, bez spowiedzi, bez sakramentów marnie skończył!!!

Rzuciła się w krzesło.

— Tylko co nam o tém mówił świadek naoczny.

— Spotkałam go na wschodach! co za oczy obłąkane! ten człowiek też źle skończy. . . .

— A! pani! przerwała Cesia.

— Ja zresztą nie chcę mu złego prorokować, życzę jak najlepiej . . . ale tak rozrzucony, rozpasany . . . żadnego uczucia religijnego.

— On? pani — wtrąciła Cesia.

— Ale tak jest! tak jest! widział go kto w kościele z książką? przy konfesjonale? Przychodzi szukać poezij u ołtarza nie Pana Boga! . . .

Cesia zamilkła.

— A! co za straszna nauka! — dodała panna Dorota, ten zgon tragiczny, okropny . . . u stołu! wśród bankietu bezbożnego — okropność. . . .

Hrabina, która się lękała śmierci do tego stopnia, że rozmowa o niej spać jej nie dawała — rada była odwiedzinom starej panny, kazała zrobić herbaty, i niezważając na Cesię, która płakała po cichu, łzy połykając, zasiadła do narzekań pobożnych.

Tymczasem Staś nieumiejąc pójść spocząć do domu, po wschodach Trinita zszedł na plac i powlókł się do Cafe Greco.

Tu, pomimo spóźnionej pory, było pełno. Beppo, który czuł się stęskniony i smutny szukał tu także życia i wrzawy. Poprzedził go był Wacek, który stanąwszy w pośrodku artystów, opowiadał im z poetycznymi dodatkami własnego utworu o tragicznej śmierci *Padre amoroso.*

Obcy, młodzież uboga, co nie raz od niego doświadczyła współczucia — stała pochmurna i zasępiona.

Na progu ukazał się Stanisław i zatrzymał. Wacek zobaczywszy go, zakończył nagle opowiadanie swe — dziwnie brzmiącem: *Requiescat in pace!*

— Dziwna śmierć! mruknął napychając z kapciucha krótką fajeczkę Francuz — gdyby jej nie poświadczyli inni, myślałbym, że *il Vacio* (tak zwano Wacka) — sam ją ułożył — aby nam nalać atramentu do wesołości.

— Szczęśliwa śmierć! — przerwał Staś od progu — kto śmie powiedzieć inaczej? Możnaż umrzeć milej jak ściskając dłonie przyjaciół, w ciepłej atmosferze wesela — wśród ożywionej rozmowy, głosząc tę prawdę, w którą się przez całe wierzyło życie? Bóg tylko błogosławionym daje śmierć taką poetyczną.

— Ale k o d y n y, zasyczał z kąta mały pseudo-malarz, znany ze swej głośno afiszowanej bezbożności — ale kodyny co powiedzą? gotowi go nie pochować? We Włoszech tak umierać nie wolno — żadne bractwo nie pójdzie za trumną nie wyspowiadanego.

— Traf szczęśliwy chciał — odezwał się cicho Beppo — wiem to od Ojca Pawła, że zrana stary spowiadał się i na śmierć był przygotowany, jakby się jej spodziewał.

— Ale k o d y n y! p r e t i! — zawrzał malarz — ho! ho! zobaczycie! nie miał szczęścia być ich ulubieńcem — ci mu figla spłatają!

— Myślicież że go to zaboli! — odparł Beppo — jest on tam dziś, zkąd na te nasze dziecinne igraszki patrzy się z politowaniem!! Przyjaciele pójdą za trumną . . . a zresztą Bóg wielki!

— Z pewnością lepszy od tych wizerunków nie patentowanych — ozwał się Staś ruszając ramionami, które tu za Boże obrazy sprzedają.

Nie żal mi poczciwego starca, ale żal tych co zostali . . . i igrać będą z jego zwłokami.

— Ale tego nie będzie — nie może być — odparł Beppo, i dziś nie czas przewidywać co się nie stało. . . . Milczmy . . . a płaczmy po nienagrodzonej stracie. . . .

(Dokończenie nastąpi.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Józef Ign. Kraszewski** w Dreznie. — Nakładem i drukiem **J. I. Kraszewskiego** w Dreznie.